NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. **Kraków, 19. maja 1917.** **Nr. 20.**

Nowe walki w Galicyi.



1) Ruiny domu mieszkalnego w Brzeżanach. 2) Skntki eksplozyi ośmnastocentimetrowego pocisku na brzeżańskim ratuszu. 3) Dom na przedmieściu. 4) Kaplica Zamku Sieniawskich. 5) Opustoszały dom z dachem przewierconym przez granat.

Szósta austryacka pożyczka wojenna.

Wojna wstąpiła w nowe i jak się zdaje, już ostatnie stadyum. Ale wszystkie oznaki wskazują, że nie jest to już stadyum rozstrzygające, gdyż rozstrzygnięcie już zapadło. Nie ważą się szale losów, tylko ustalają. Awanse wojenne, uzyskane przez państwa centralne, są tak wielkie, że koalicya może to lub owo z nich odkruszyć, albo wytargować, ale nie zdoła ich wyrównać, cóż dopiero przewyższyć. Częściowe sukcesy koalicyi na froncie zachodnim zostają więcej niż wyrównane przez sukcesy niemieckich łodzi podwodnych, przystąpienie Ameryki do koalicyi zrównoważa się z ustąpieniem Rosyi, jako czynnika wojennego. Nadzieje koalicyi, że Rosya mimo rewolucyi wróci przecież na widownię wojny, jako czynny aktor, okazują się płonemi, zwłaszcza po ostatnich zamieszkach w Petersburgu. Ograniczenie środków żywności, które istniało dotąd w państwach centralnych, rozszerzyło się także na państwa koalicyi i w Auglii grozi katastrofą. Nie jest to pocieszenie, gdyż cudzym brakiem nikt się nie nakarmi, lecz ocena szans.

Taka ocena szans wojennych i politycznych jest potrzebna, gdy się przystępuje do praktycznej kwestyi podpisywania szóstej austryackiej pożyczki wojennej. W rzeczach finansowych bowiem rozstrzygać muszą nie sympatye i uczucia, które mogą podytkować nawet przychylność dla sprawy straconej, lecz czysty, objektywny rachunek. I w tym wypadku ta objektywna rozwaga powiada, że pokój już wywalczony i już się pojawił na horyzoncie; idzie teraz tylko o to, ażeby jego krok przyspieszyć, żeby nieprzyjaciele państw centralnych przekonali się dowodnie, iż silnej pozycyi tych państw zachwiać już nie zdołają. Dlatego szósta austryacka pożyczka wojenna, której subskrypcya już się rozpoczęła, powinna wypaść tak samo świetnie, jak i poprzednie.

Nowe walki w Galicyi.

(Do illustracyi tytułowej).

Brzeżany, cicha niegdyś i spokojna mieścina, położona nad Złotą Lipą, utworzonym przez nią ogromnym stawem, słynna z zamku obronnego Sieniawskich, znajdują się dziś na samej linii bojowej. Na wzgórzach, wznoszących się obok miasta, rozmieściły się z jednej strony pozycye naszych wojsk, z drugiej stanowiska nieprzyjaciół, nic też dziwnego, że życie



Nowe walki w Galicyi: Ruiny mieszkalnego domu w Brzeżanach

tu prawie zamarło. Oprócz wojska, pozostało niewiele tylko ludności, która nie chciała lub nie mogła na czas opuścić swych siedzib, od strzałów armatnich i karabinowych ucierpiały też bardzo poważnie różne budynki, tak publiczne, jak i prywatne, między nimi ratusz, uszkodzony przez wybuch ośmnastocentimetrowego pocisku, przyczem zginęło czternaście osób, kaplica zamku Sieniawskich i wiele innych.

Ilustracye, jakie zamieszczamy w niniejszym numerze, malują dokładnie rozmiary spustoszenia. Pochodzą one z kwietnia bieżącego roku, kiedy walka na całej linii bojowej toczyła się z największą zaciętością, a huk armat i karabinów maszynowych rozlegał się od rana do wieczora bez przerwy, by nazajutrz rozpocząć się znów z większem jeszcze nasileniem. Także i samoloty nieprzyjacielskie, odwiedzając często miasto, wyrządziły dość szkód przez rzucanie bomb. Z końcem kwietnia akcya wojenna zmalała, gwałtowne ostrzeliwanie miasta i pozycyi wojsk sprzymierzonych rozpoczęło się znów w dniu piątego maja i trwa aż do obecnej chwili, nie wyrządzając przecież poważniejszych strat w naszych stanowiskach, które są prawie nie do zdobycia.



Arcyksiążę Karol Stefan (1) z małżonką (2), dziećmi i rodziną ks Radziwiłłów w Balicach. (3) Księżna Renata Radziwiłłowa (córka arcyksięcia Karola Stefana). (4) Książę Hieronim Radziwiłł.

O regenta i rząd polski.

Sprawa realizacyi manifestu z dnia 5. listopada, pozostająca dotychczas w zawieszeniu, poczyna wchodzić na szybsze tory. Wyrazem tego jest memoryał Rady Stanu, przyjęty na posiedzeniu w dniu 1. maja, a obejmujący następujące żądania:

„I) Powołanie przez Tymczasową Radę Stanu



Z Królestwa Polskiego: Nowe tablice drogowe w Piotrkowskiem (z polskim orłem i o polskich barwach).

Regenta, którym, stosownie do życzeń kraju, powinna być osoba, władająca biegle językiem polskim, religii katolickiej, z krajem naszym przynajmniej w pewnym stopniu związana, pochodząca, o ile możliwe, z dynastyi panującej. Pierwszem zadaniem Regenta winno być powołanie do życia stałego gabinetu ministrów, o charakterze czysto polskim i zwołanie Sejmu.

II) Natychmiastowe utworzenie Tymczasowego Rządu Polskiego, złożonego z ministrów Polaków, przez Radę Stanu, w myśl życzeń społeczeństwa wyznaczonych, a stanowiących Radę ministrów, która do czasu rozpoczęcia sprawowania urzędu przez Regenta, obejmować będzie władzę kraju.

tylko mocarstwa sprzymierzone porozumią się co do zasadniczego stanowiska wobec wniosków. Dalej w odpowiedzi tej zaznaczono, że nowe ukształtowanie stosunków aż do urzeczywistnienia nowego stanu rzeczy czyni dalsze istnienie Rady Stanu, jako pomostu, bezwzględnie potrzebnem, zwłaszcza, że tylko

dla Królestwa Polskiego — oraz oddania rządów w ręce polskie obecnie stanęła na porządku dziennym i w bliskim czasie zostanie załatwioną. Wielka międzynarodowa sprawa polska posunie się więc o wielki krok naprzód".



Magazyny wojskowe w Brzeżanach, uszkodzone pociskami artyleryi.



Nowe walki w Galicyi

Skutki kwietniowej kanonady w Brzeżanach.

Rząd Polski przedstawi rządom państw centralnych opracowany przez Tymczasową Radę Stanu program obejmowania władzy w kraju z uwzględnieniem konieczności wojennych. W motywach żądań podkreślono, że 1) stopniowe przejmowanie władzy dotychczas nie zostało wprowadzone w życie; 2) sprawa wojska nie jest dotąd rozstrzygnięta w myśl życzeń Rady Stanu; 3) stosunek do ludności władz okupacyjnych nie przyjął form przyjaźniejszych; 4) rozporządzenia prawodawcze są nadal wydawane, albo z pominięciem Rady Stanu, albo bez uwzględnienia jej opinii. Brak realizacyjnych zamierzeń aktu 5. listopada r. z. ze strony państw centralnych zachwiał nawet ideę oparcia Niepodległego Państwa Polskiego o wolny sojusz z mocarstwami centralnemi. Wobec tego istnienie Tymczasowej Rady Stanu w dzisiejszej formie z tą kompetencyą, nietylko nie wpływa na ustalenie przyjaznych politycznych stosunków między państwem polskiem a mocarstwami centralnemi, ale może nawet podciąć w zarodku koncepcyę państwa polskiego, opartego o zachód".

Tymczasowa Rada Stanu może być powołana, by w rokowaniach, prowadzonych między sprzymierzonemi mocarstwami, wyrazić życzenia narodu polskiego.

Jednocześnie z prowadzonymi obecnie pertraktacyami w sprawie postawionych przez Radę Stanu żądań, prasa warszawska i poznańska rozpisuje się szeroko o osobie ewentualnego regenta Polski. Zasługują tu na uwagę wywody „Gaz. Grudz.", powtórzone i przez prasę krakowską. Wspomniana gazeta, omówiwszy doniosłość wypadków bieżących i stwierdziwszy, że jeżeli regentem Polski nie mógłby być Polak — to mógłby być nim tylko taki obcy, którego od dawna już łączą mocne węzły z narodem polskim i który dziś już się cieszy mirem wśród narodu polskiego, w dalszym ciągu pisze:

Wystawa na dochód ociemniałych inwalidów.

W sali lwowskiej giełdy otwarto piękną wystawę dzieł sztuki, przeznaczonych do rozlosowania na dochód ociemniałych inwalidów wojennych, pochodzących z Galicyi. Wystawa, którą zainicyowała Karolina hr. Dzieduszycka, zawiera przeszło 400 obrazów, rysunków i rzeźb współczesnych artystów, które rozmieszczono gustownie i ze smakiem. —



Z Królestwa Polskiego: Nowe tablice na szkołach wiejskich.



Wystawa na dochód ociemniałych inwalidów: Ogólny widok wystawy.

W związku z temi żądaniami, postanowiono, aby Wydział Wykonawczy Rady Stanu wybrał Komisyę, któraby w jak najszybszym czasie opracowała: 1) program obejmowania władzy kraju; 2) zasady wzajemnego stosunku Rządu Polskiego, Rady Stanu i władz okupacyjnych.

Na powyższe żądania władze okupacyjne udzieliły już prowizorycznej odpowiedzi, z której wynika, że odpowiedź urzędową Rada Stanu otrzyma, skoro

Jedno w każdym razie jest rzeczą pewną — a mianowicie, że sprawa regenta względnie króla

Wszystkie te dzieła będą rozlosowane dnia 1. lipca bieżącego roku.

Na załączonej fotografii widzimy wnętrze wystawy, na której odbywają się dwa razy w tygodniu koncerty, gromadzące wytworną publiczność. Sekretarzami wystawy są: zastępca wicepr. Tow. przyj. sztuk pięknych, p. Stanisław Sokołowski i znany estetyk i poeta, Artur Schröder. Do prezydyum należy dyrektor Zakładu ciemnych, Stanisław hr. Mycielski, a protektorem jest arcyksiążę Karol Stefan.

Z Królestwa Polskiego.

Gminy wiejskie ziemi Piotrkowskiej należą do najlepiej uświadomionych i wzorowo pod względem administracyjnym zorganizowanych w tej części Królestwa Polskiego, które zostaje pod rządem c. k. władz okupacyjnych.

Z uznaniem przychodzi zapisać, że włościanie samorzutnie, bez wyraźnego nakazu z góry, czy też agitacyi, usuwają rozmaite przeżytki z czasów byłych rządów rosyjskich i wioskom swoim nadają czysto polski charakter. Napisy rosyjskie dawno tu zniknęły, a w czasach ostatnich dokonano także sympatycznej innowacyi, która wśród ogółu jak najlepsze sprawiła wrażenie. Oto z inicyatywy starosty,



Z Królestwa Polskiego: Nowe tablice na urzędach gminnych w Piotrkowskiem.

dra Juliusza Dunikowskiego, cały powiat piotrkowski otrzymał efektowne tablice, na których oprócz napisów (tylko polskich) oznaczających nazwę miejscowości, widnieje także śliczny orzeł polski. Tablice te umocowane są na słupach w kolorach państwowych polskich i uprzytamniają nam, że naprawdę żyjemy w Polsce. Wszystkie urzędy gminne i szkoły w Piotrkowskiem zamówiły sobie owe tablice, których podobiznę dzisiaj podajemy.

Przy tej sposobności należy podnieść działalność starosty dr. Dunikowskiego, który umie pogodzić obowiązki c. k. urzędnika z obowiązkami dobrego obywatela-Polaka ku ogólnemu zadowoleniu.

Wydatną pomoc w swojej pracy organizacyjnej znajduje starosta Dunikowski w p. Malanowskim, lustratorze gmin wiejskich w powiecie piotrkowskim.



Pożegnanie lekarza: Lekarz naczelny VI. oddziału szpitala fortecznego nr. 7., radca cesarski dr. Władysław Harajewicz, wśród swych pacyentów

Pożegnanie lekarza.

W tych dniach opuścił dotychczas zajmowane stanowisko lekarz naczelny VI. oddziału szpitala twierdzy nr. 7. radca cesarski, dr. Władysław Harajewicz, przenosząc się do Maryenbadu, gdzie corocznie ordynuje w czasie sezonu kąpielowego.

Dr. Harajewicz przez czas swej przeszło dziesięciomiesięcznej pracy na oddziale potrafił sobie zjednać ogólną miłość i uznanie, nazwisko jego zachowają też liczni jego pacyenci we wdzięcznej pamięci, oddał się im bowiem w zupełności i z prawdziwem poświęceniem.

Do służby szpitalnej zgłosił się dobrowolnie, by nieść pomoc chorym i rannym, dzięki swej fachowej wiedzy, troskliwości i sumienności niejedno też uratował życie i niejedną łzę otarł. Nic też dziwnego, że szerokie koło znajomych i liczni pacyenci żegnali go z żalem, ale i wdzięcznością, życząc dalszego powodzenia.



Wystawa na dochód ociemniałych inwalidów: Komitet wystawy z inicyatorką Karoliną Daiseduszycką w pośrodku.



Z frontów bojowych: Zamek w Brimont, zbombardowany przez Francuzów.

Cela Nr. 7.

Kartka z niedawnej przeszłości.

Cichy nastrój.

Wachlarzem na pułapie kładzie się poorane cieniami kraty tęskne światło przyćmionej lampy.

Noc.

Cisza w celi. Tylko czasem drzwi, okute blachą, jękną pod uderzeniem przechodzącego korytarzem dozorcy; to znów klucz zaskrzypi w zamku, przypominając, że wolność tu zamknięta.

Noc.

Cień wygląda ze wszystkich czterech kątów, bo słaby refleks lampy cofa się od nich, jakby z obawą, sięgając tylko ustawionych nar szerokich.

Wprost drzwi, w drugim celi końcu, dwa okratowane okna. Cztery nędzne, zabrudzone szybki, raczej trzy, bo w każdem oknie jedno stłuczone, w dzień światła nie dopuszczają, tembardziej teraz nocą tamują błysk świecącej gdzieś w oknie dalekiej kamienicy nocnej lampki, przyświecającej, być może, cudzemu szczęściu, obcej rozkoszy.

Żyjcie i bądźcie szczęśliwi, dopóki żyjecie...

Radujcie się, radujcie się, wy, którzy nie potrzebujecie spać zimną nocą na brudnej podłodze, oparci głową o „źródło wszechwonności“ w celi, o „paraszę“, wprowadzaną gościnnie co wieczór.

Na szerokiej, pośrodku sali w podłogę żelaznymi korzeniami wrosłej pryczy, głowami ku sobie zwróconych, śpi ciał dwadzieścia, po dziesięć na każdej stronie. Tworzą jakby dartego orła: nogi ich — to skrzydła, zwrócone ku zewnątrz, jakby w dążeniu ku światu; głowy — utkwione w brzuchu wszechwładnego molocha.

Innych dwudziestu wieńcem pod ścianą śpi na podłodze. Tu głowa, ówdzie nogi sterczą z pod zdartego baraniego kożucha, tam błyszczą guziki kolejowego munduru, czapka studencka, żołnierski szynel i łachmany włóczęgi, który się zaparł nazwiska.

Czarna cisza wisi w powietrzu, a dołem czterdzieści oddechów uderza różnym rytmem.

Cela na osób dwadzieścia. Tak oznaczono w księgach więziennego zarządu, podług planów budowniczego i sanitarnych raportów lekarza.

„Dusz“ dwadzieścia — jakby dla kontrastu notują w księgach ci najbardziej typowi z typowych drobnych biurokratów, na których istotę składa się wszystko, prócz duszy, wszystko, a przedewszystkiem brzuch i kieszeń. Ci urzędnicy kancelaryi więziennej, od wolnego najmity dyetaryusza, aż do „samego“ naczelnika więzienia włącznie, o danaidowych kieszeniach, gotowi są sprzedać Chrystusa, a ułatwić ucieczkę stu Barabaszom, jeśli im się to „opłaci“. Na szelest jedwabistego papierka miękną coraz bardziej w stosunku prostym do wypisanej na papierku cyfry. Ono, i oni mają serca, i to są podobno „ludzie“. I między nimi są dobrzy mężowie i ojcowie, dobrzy t. zw. ludzie, ale szukać między nimi „człowieka“, niemal — daremne.

Cela na osób dwadzieścia. Ale w gmachu-całym, we wszystkich więzieniach przepełnienie, więc i tu dwakroć pełno. Cisza wisi w powietrzu, ale tu, w tym nietyle „powietrzu“, ile „braku powietrza“ zawiśnie topór nietylko cisza nocna.

W jednym z kątów, u nóg głuchoniemego włóczęgi wtulił się w bratnim, sennym uścisku dwu pędraków, jeden lat dziesięciu, drugi dwunastu; obaj roznosiciele gazet. Pierwszy, żydek o ciemnych lokach, typowy uliczny sprzedawca pism żargonowych. Drugi — roznosiciel gazet prenumeratorom do domów. Zarzucano mu również zabroniony kolportaż pism, wprawdzie nie zabronionych, ale... jak każde drukowane słowo, jak każdy błysk światła — niebezpiecznych, zdaniem „Wydziału Ochrany“ dla ustroju państwowego.

Cisza. Zdaleka dochodzi kura pianie...

Nagle przez grube kraty okna wdziera się ostry krzyk kobiety, jakby przy wydzieraniu serca z żywej piersi wydany. To obłąkana, zamknięta w „oddziale sekretnym“, to jest w jednym z cel pojedyńczych drugiego piętra, rozpacznie się szamoce. Rzadkie ma chwile przytomności i w te właśnie rzadkie chwile ból tak nią targa. Znów chwila absolutnej ciszy. Oddechy, jakby ustały i znów ten krzyk rozpaczliwy, ostry. Głos ten wpadł piorunem przez drzwi i okna zrazu, szatańskim świstem przeszył powietrze i raził uśpione mózgi niewolnych lokatorów celi.

Jeden z nich, leżący pośrodku pryczy, dobrej tuszy mężczyzna o sumiastym wąsie, odemknął zlekka najpierw jedną powiekę, potem drugą, uniósł nieco głowę i powiódł wzrokiem po towarzyszach.

Mózg jego i pierwej nie spał. Pracował zmysł słuchu, tem czujniejszy przy zamkniętych oczach. Czasami ktoś przez sen majaczy; czasami, korzystając z nocnego spokoju, opowiada półszeptem sąsiadowi swoje czasami krwawe, indziej wesołe, albo znów smutne dzieje. Smutne — ale wolne.

Uwaga popłaca. Podniósł wzrok, nastawił uszy, jak wyżeł, wystawiający zwierzynę, jak pies...

Pies...

Ale cisza dalej panuje nieprzerwana. Znów nierównomierne oddechy czterdziestu piersi, znów tych samych gardeł chrapanie i znów zdaleka głos waryatki, tylko już nie krzyk ostry, ale jakiś jęk, czy łkanie.

I światło lampki dalej błyska, rzucając na pułapie złoty wachlarz, poorany cieniami kraty.

— — — — — — — — — — — —

Wachlarz blednie zwolna. Lampa dogasa? Nie — to świty przedzierają się przez nocne mroki. Cienie chowają się coraz głębiej w kąty, mrok wpełza pod nary, wsiąka w ściany, olejno na biało z szeroką czarną lamperyą malowane.

Rządowy płomień latarki świeci dalej urzędowo, czyli smutno, ospale, aż wreszcie gasi go ręka niewytrzeźwionego jeszcze strażnika.

— — — — — — — — — — — —

Świetlisty ranek. Złoty deszcz słońca kaskadą blasku oblewa dachy więziennych oficyn i mur przeciwległy, wysoki a długi, zdaje się równie bezlitośnie, bezcelnie długi, jak noce, spędzane w tej katowni.

Zwolna zagląda słońce i do celi. Dwadzieścia i pięć krat żelaznych, grubych, przymocowanych nakrzyż w każdem oknie, nie zdołają wstrzymać tych promieni, ożywiających serca nadzieją, dających słabszym duchom jaką taką równowagę.

Ogólną szarzyznę, panującą w sali urozmaica zawieszona do wysuszenia na oknie czerwona, żołnierska koszula. Uprał ją jej właściciel z samego rana, zaraz po pierwszem otworzeniu celi to jest o godzinie szóstej w ubikacyi, położonej w końcu korytarza, a nic wspólnego z fabryką perfum i mydeł, ani żadnych innych wonności nie mającej.

Porządek tam panujący dostrojony jest do całości. Z jednej strony kamiennna pochyła ściana, ociekająca zrzadka dla dezynfekcyi wodą; pod przeciwległą ścianą — dziesięć tuż obok siebie bez żadnych zasłon ustawionych siedzeń, ongi czystych, dziś tak zanieczyszczonych, jak to jest nieuniknione. Frekwencya tu szalona: około pięciuset przymusowych pensyonarzów zwiedzą tę ubikacyę codziennie, niejeden parokrotnie na dobę. Oprócz czynności zasadniczych załatwia się tu pranie. Korzystają z tego ci więźniowie, którym z miasta bielizny nie przysyłają na zmianę.

Do takich należą przedewszystkiem zamiejscowi, nie posiadający tutaj rodziny, ani przyjaciół. Ci nie otrzymują tak zwanych „wałówek“, czyli codziennie od dziesiątej do dwunastej rano w kancelaryi więziennej dla aresztantów przyjmowanych przesyłek. W niektórych więzieniach, jak naprzykład w twierdzy (cytadeli) przesyłki takie przyjmowane są tylko dwa razy w tygodniu przez „sztab główny. Dni te, mianowicie wtorek i piątek, noszą z tego powodu charakter o wiele więcej świąteczny, niż niedziela.

Ze sztabu wałówki wędrują na wozach do pawilonu X lub kazamat w fortach i wewnetrznych rawelinach, zwanych tu urzędowo „fortami“.

Jednym z popularniejszych jest tu otaczany sympatyą fort „Aleksieja“, dalej forty: trzeci i inne.

Zanim wałówka, złożona zwykle z paru sztuk bielizny, paczki papierosów i zapałek, trochy pieczywa i wędliny (wszystko zamieszczone w kobiałce) dojdzie adresata w cytadeli lub w fortach, ubywa z niej potrochu na każdym etapie tak, że więzień dostaje zaledwie ślady tego, co było, resztki niezaszczycone apetytem konwoju i przygodnych rewidentów. W więzieniach miejskich wałówki dochodzą zwykle w porządku, rzadko czegoś w której z nich brakuje. I owocow, zabronionych w przepisach, zbyt surowo tu nie pilnują.

Korespondencyi z miastem przy wałówkach prowadzić nie można, gdyż jest to surowo wzbronione. Przy pakunku, oprócz naklejonej kartki z nazwiskiem, może się znajdować tylko wykaz tego, co paczka zawiera. Jedak „est modus in rebus“ zawsze i wszędzie. Tak więc w cytadeli, literatura drukowana i pisana, choćby na skrawkach gazet i torebkach od cukru, kwitnie i cel swój osiąga.

Rano ruch w celach zaczyna się między godziną szóstą a siódmą. Więźniowie wstają, składają na jeden stos na nary cztery sienniki, rozkładane na noc w poprzek dla wszystkich; jeden z więźniów, codzień kolejno inny, pełni dyżur, to jest, zamiata podłogę, inni, też wyznaczani kolejno, wynoszą do poprzednio opisanej już, a gdzieindziej dwoma zerami tytułowanej ubikacyi „paraszę“ — kubeł wysoki, uszaty, inni oczyszczają ustawione w kątach cztery miski blaszane, używane raz jako spluwaczki, kiedyindziej włączane do kilkudziesięciu takich samych i niczem się nie różniących, które służą do śniadania i obiadu.

Około godziny ósmej do dziewiątej dają śniadanie, barszcz biały, przygotowany na resztach razowego chleba, niedojedzonego przez więźniów i zwracanego przez nich codzień. W barszczu tym częściej coprawda pływają tak zwane skwarki słoniny, niż karaluchy, ale i to się od czasu do czasu zdarza, co nie jest dziwne temu, kto raz choć widział tutejszą kuchnię, umieszczoną w piwnicy, nie w suterenie, lecz dosłownie w piwnicy, nie przewietrzanej, wilgotnej, brudnej i bez podłogi. W tem miejscu, gdzie powinna być posadzka — stoi normalnie kałuża cuchnącego błota. Wogóle — błoto po kostki zajmuje całą powierzchnię tak zwanej podłogi. Całość mizernego umeblowania kuchni dostosowana jest ściśle do tej podłogi. Możnaby o tej kuchni powiedzieć jak o Neapolu, że raz ją dosyć ujrzeć i... umrzeć.

Natychmiast po śniadaniu dają gorącą wodę, którą nabiera się na te same miski blaszane, wypłukane po barszczu pod jednym z dwu wodociągów, znajdujących się na korytarzu, a rano służących do mycia się. Ponieważ w „wałówkach“ wolno jest przysyłać cukier, herbatę i t. p., więc, kto je ma, wodą tą naparza herbatę, dzieląc się nią z najbliższymi sąsiadami.

Wogóle panuje tu dobrowolna częściowa komuna.

Od śniadania do obiadu czasu niewiele, i ten schodzi na odbieraniu „wałówek“.

Obiad wydają o pierwszej z południa, a składa się on z takiej samej miski zupy, najczęściej w postaci gęstej kaszy z kartoflami, grochu z kapustą lub grochu z kartoflami, albo wreszcie kaszy z grochem.

Wszystkie potrawy zdradzają tu skłonność do asymilacyi.

Trzy razy na tydzień, mianowicie w niedzielę, wtorek i czwartek do zupy dodają porcyę gotowanej wołowiny, wagi ćwierć funta, włączając kości, tłuszcz etc.

Zaraz po obiedzie, mniej więcej, o godzinie drugiej, wydają znów gorącą wodę, w której każdy myje naczynie miejscowe, lub stanowiące jego prywatną „własność, pochodzącą z „wałówek“. Woda ta służy, jak i rano, do naparzenia herbaty, o ile ją kto posiada.

Do całodziennego jedzenia dodać należy porcyę razowego chleba, wagi półtora funta, a właściwie ćwiartki dużego, pięciofuntowego bochenka, wydawaną co rano, zaraz po zamiataniu, przed barszczem.

Między godziną drugą a czwartą trwa godzinny spacer po korytarzu. Przechadza się jednocześnie około stu osób, z paru cel naraz.

W oddziale tak zwanym „sekretnym“, przechadzają się pod opieką żandarma więźniowie tylko jednej celi, najwyżej po dwu — trzech. Opiekun ten towarzyszy sekretnym również tam, dokąd zwykły śmiertelnik sam się zazwyczaj udaje.

W tym kierunku, jak i w innych, większem zaufaniem cieszy się oddział ogólny, skąd więźniowie te niezbędne wycieczki odbywają bez opieki. Za tę przyjemność pozbawieni są innej, z której korzystają sekretni. Tym bowiem o wiele częściej, niż tamtym, dodają na towarzyszów samotności, zawodowych agentów „ochrany“, którzy starają się wyzyskać pokładane w nich nieraz lekkomyślnie przez uczciwych współwięźniów zaufanie. Słodkiemi słówkami, okazywaniem współczucia, tysiącznemi drobnemi usługami, wreszcie symulowaniem ze swej strony, tak umieją oni opętać niejednego, że ten, choćby był w gruncie rzeczy człowiekiem, nie mieszającym się do niczego i czystym lojalnie, jak łza, dopóki w błoto nie spadnie, uwikła się w tak umiejętnie snutą intrygę, że się z niej nie wyplącze.

Funkcye takie po amatorsku spełniają nieraz agenci „z Bożej łaski“, jeżeli się godzi tak nazywać to plugastwo, rodzące się z ostatnich wyrzutków — bandytów.

Bandytów tych, rzekomo skruszonych, używają tu nie tylko do wyciągania na słówka więźniów w celach, ale dają im funkcyę urzędników państwowych, powierzając im formalne badanie, narówni z żandarmeryą, tak zwanych przestępców politycznych, lub podejrzanych. Niektórzy z nich zyskali sobie nawet popularność na tem polu i to większą niż w rozbójnictwie. Do tych należą osławieni: Olek Czerwony (pierwotnie kelner), Jelonek, Poeta, Herbatka, Mieczysław Sankowski, Hanke i inni. Ludzi tych spotyka się nieraz na korytarzu aresztu policyjnego w ratuszu — ale rzadko, gdyż inni więźniowie korzystają wówczas ze sposobności, żeby ich obić.

Koło godziny piątej po południu trzecia wy-

cieczka z celi po wodę, jest ostatnią. Od tej pory drzwi celi zamykają się dla więzionych, aż do następnego rana.

Zwolna zapanowywa mrok w sali. Cienie powrotnie wypełzają z kątów i z pod pryczy i rozpościerają swój całun coraz dalej, coraz szerzej.

Po pewnym czasie znów zgrzyta we dzwiach klucz strażnika, wnoszącego latarkę.

I znów wieczór, znowu te same półcienie na ścianach i w kątach obszernej a ciasnej izby, znowu ta sama ciężka zaduma na czołach, ta sama troska w duszach, a ciężar na sercach.

I nie dziw. Nad jednym wisi długotrwały jeszcze areszt, innego czeka katorga za winę popełnioną przezeń lub niepopełnioną, są tu i tacy, którzy jeżeli stąd wyjdą prędzej lub później, to nie gdzieindziej, jak daleko, bardzo daleko, na mroźne równiny sybirskie, są jeszcze inni, idący jeszcze dalej, tam, skąd już niema powrotu. Ci, za przewinienia najcięższe, do których przyznali się bez względu na to, czy je popełnili, czy nie, wyłącznie nie mogąc wytrwać w fizycznym bolu podczas zadawanych im przy badaniu katuszy — przygotowani są zwykle z góry na śmierć i oczekują jej smutno, ale bez szemrania, ze stoicyzmem Scewolów.

Tu wyobraźnia zwraca myśl ku dziejom dawnej królowej Adryatyku, gdzie słynna z absolutnych swych rządów Rada Dziesięciu sprawowała swe sądy, równie „sprawiedliwie". Padali tam ofiarą nieraz i Falierowie... Grimanich głowy spadały...

Rzucając pierścień zaślubin w lagun szmaragdy, nigdy doża nie był pewien, czy wskutek denuncyacyi pierwszego lepszego, przekupionego przez zawiść innego patrycyuszowskiego rodu — zbira nie spadnie jutro z monumentalnych schodów „palazzo ducale" zbroczona krwią — jego głowa. Dość często rzeczpospolita zostawała wraz ze swym księciem bez głowy, sierociał gród bez ojca, wdowiało zaślubiane z przepychem morze.

Dziś — dawny lew wenecki zyskał godnych siebie współzawodników w północnych orłach o wielu szponach i o wielu głowach.

Niejednokrotnie nocą dolata z podwórza od oświetlonych okien sali badań przeraźliwy krzyk bólu bitych przy badaniu więźniów, niejednokrotnie powraca do celi więzień, przed godziną wysłany z niej do śledztwa, powraca — z posiniaczoną twarzą, z podbitemi oczami, nieraz do krwi poraniony bądź pięścią zapalczywego, a zezwierzęconego „szpicla", bądź rękojeścią rewolweru, podstępnie położonego przez tegoż podczas badania na stole, jako „corpus delicti".

Takie, zgoła z autentycznością nic wspólnego nie mające dowody rzeczowe są zwykłym, aż nadto często stosowanym sposobem. Uciekają się do nich wszyscy badający, chcąc zmusić badanego do przyznania się do winy, choćby... niepopełnionej. Co do bicia i znęcania się nad mniemanymi winowajcami, to ku rehabilitacyi żandarmów — przyznać trzeba, że się do nich nie uciekają. Całą ich „zasługą" w tym kierunku jest to, że zamykają oczy na te objawy służbowej gorliwości ze strony oprawców cywilnych, którzy, pewni tolerancyi, władzy swej chętnie nadużywają. W razach takich funkcyonaryusze żandarmscy usuwają się dyskretnie do sąsiednich pokojów, pozostawiając agentom możność pastwienia się „ad libitum".

Tu nastręcza się przykra, lecz charakterystyczna uwaga, mianowicie, że najwięcej gorliwi w badaniu są agenci Polacy, którzy też okazują najwięcej wyzucia z wszelkich uczuć ludzkich. Rosyanie stanowią bardzo mały procent agentów wogóle i są w postępowaniu z obwinionymi o wiele, jeśli można się tak wyrazić — „uczciwsi".

W sprawach większej wagi, jak również, gdy chodzi o badanie osób wybitnie intelligentnych, powierzone ono bywa oficerom specyalnego korpusu żandarmów (osobyj korpus żandarmow) nie agentom. Ci ostatni wzywani bywają w takich razach na świadków, lub grają rolę oskarżycieli i często są obecni przy badaniu.

Należy jeszcze wyjaśnić znaczenie użytego wyżej terminu: obwinieni, często bowiem więzień nie jest wcale obwiniony, ani oskarżony — jest jedynie podejrzany, i to tak dziwnie podejrzany, że ani on, ani władza nie wie, o co ma go podejrzewać. Poprostu, o to nie jest nawet podejrzewany, ma tylko może zbyt mądrą minę, aby go można było posądzić o to, że go współczesne objawy życia społecznego nie obchodzą. *Da liegt der Hund begraben*. I tego wystarcza, żeby takich trzymać w zamknięciu najdłużej, przesyłać z cytadeli do ratusza, stąd do więzienia w Mokotowie, stamtąd na Pawiak, powrotnie do ratusza. to znów do fortu Aleksego, albo do twierdz w Modlinie i Brześciu Litewskim, wreszcie bywa, że, nie poddając nawet badaniu, tak sobie, ufając „na wiarę", wyślą takiego etapem na wilegiaturę do Kańska lub Wierchojańska. Tam otwiera się dopiero piękne pole: dla lekarzy do doświadczeń nad gorączką głodową i trądem, dla antropologów i etnografów — do badań życia i obyczajów Jakutów, dla paleontologów wreszcie — wyjątkowa sposobność do przyrządzania marynat z zamrożonych przed wielu setkami lat mastodontów i mamutów, w które nie potrzebują się specyalnie zaopatrywać w Warszawie.

A etapy? Ach, te etapy!

Przedewszystkiem zaś miejscowe transportowanie więźniów, dajmy na to z ratusza do cytadeli. Zwykle odbywa się ono nocą, stale co wtorek i piątek. Piątkowa partya zazwyczaj bywa największa, do paruset ludzi.

Zwykle o godzinie szóstej do siódmej wieczorem strażnik odczytuje w drzwiach celi otrzymaną z kancelaryi listę więźniów, przeznaczonych do transportu. Zanim ci się do drogi przygotują, ubiorą i tobołki swe zawiążą, upływa jeszcze parę godzin, poczem do północy schodzi czas na różnych przypuszczeniach, dokąd partyę prowadzą, lub najczęściej na tem, który pułk będzie ją konwojował. Charakterystyczną jest ogólnie wypowiadana obawa przed żołdactwem dwu pułków: wołyńskiego (gwardyjskiego) i grochowskiego, które się odznaczają samowolą i rozbestwieniem. W ten sposób chcą się one rehabilitować wobec swej władzy z tych zwykłych surowych i bardzo surowych nagan, jakie zawsze dotychczas same otrzymywały podczas manewrów i przeglądów. W boju niesprawne, na manewrach niedołężne, na rewiach niedbałe — tu sobie naprawiają opinię, przetrącając kolbami krzyże, raniąc głowy konwojowanych.

Opisu takiego pochodu dać niepodobna, bo ani wyrazów nie starczy, by oddać choćby w przybliżeniu całą grozę, ani podobnem jest, by ktoś, co piekła tego sam nie przeszedł, mógł uwierzyć w prawdę opisu.

Natomiast — szczególną sympatyą się cieszą inne pułki gwardyjskie, wypełniając ściśle polecenia władzy, ale po ludzku i nie dodając nic z własnej inicyatywy. Podobno władza na ten brak nadużyć niezbyt chętnem patrzy okiem.

A ludzkość w obchodzeniu się z więźniami jest dla tych ostatnich nader ważna, szczególnie w fortach, specyalnie zaś w forcie Aleksego, gdzie wilgoć w ścianach, a do niedawna spano na gołej słomie, na asfaltowej, zimnej podłodze. Dziś również za posłanie służy goła słoma, ale rozesłana na pryczach, wyciągniętych wzdłuż ścian.

Jedzenie w cytadeli i fortach jest lepsze, niż w więzieniach i aresztach miejskich, gdyż w fortach dają jadło żołnierskie, jadane na podłodze ze wspólnej misy. W cytadeli i fortach dają każdemu więźniowi łyżkę drewnianą, czego w miejskich więzieniach niema.

Okna kazamat fortecznych i fortowych są nieokratowane, stoją natomiast przed niemi o trzy do czterech łokci od ściany, drewniane sztachety. Między sztachetami a oknami, chadza szyldwach, pilnujący też więźniów, gdy wychodzą rano przed drzwi — myć się na podwórzu, lub na dwudziestominutową przechadzkę. Jeden taki spacer musi wystarczać na całą dobę lub na dni kilka, co jest zależne od dowódcy warty.

Transporty z więzień miejskich do innych również miejskich lub do cytadeli i fortów wychodzą, z ratusza między godziną dziesiątą a jedenastą w nocy. Często też sprowadzają drobniejsze partye z cytadeli do ratusza na badanie. Jeśli w transporcie osób tylko kilkanaście, to przewożą je w okratowanej karetce pod eskortą kilku lub kilkunastu zbrojnych żandarmów.

Karetka taka w żargonie więziennym zwie się od pewnego czasu „Nowodworski". Żargon „polityczny" nie jest bogaty: Ratusz korzysta tu z odwiecznego przezwiska „rataj", cytadela — „cytel", list konspiracyjnie otrzymany — „gryps", miska do jedzenia — „dołek". Więzień „szemrany" znaczy wytrawny, taki, co nie pierwszy raz mury te odwiedza. Co znaczy „wałówka" — patrz wyżej. Oto cały prawie słownik tutejszej gwary więźniów politycznych, z którego prawdopodobnie ś. p. Karłowicz w swoim wielkim „Słowniku gwar polskich" nie zdążył skorzystać, bo Opatrzność, uprzedzając ochronę, powołała go do siebie.

A etapy, te prawdziwe etapy, którymi wysyłają ludzi w dal, na spotkanie wschodzącego słońca? Wiecie, co znaczą te etapy?

Oto siedzi na przykład w warszawskim policyjnym areszcie w ratuszu ktoś, kogo wszechmoc władzy administracyjnej przeznaczyła na zesłanie, dajmy na to do Tobolska w Syberyi. Jeśli skazaniec ma na to i chce ponieść koszt przejazdu swojego i dwu żandarmów, to wolno mu jechać nawet pierwszą klasą expresu. Kogo jednak nie stać na to, by opłacił przejazd trzech osób choćby w klasie trzeciej, ten czeka w tymczasowem więzieniu w Warszawie na partyę przeznaczoną do wysłania tym samym traktem. Tymczasem, będąc w Warszawie urzęduje kilkakrotnie po różnych więzieniach, jak to wspomnieliśmy poprzednio, aż nadejdzie czas etapu.

Wówczas pod silną eskortą wysłany zostaje do więzienia etapowego na Pradze, przy tak zwanym „zbornym punkcie", gdzie przebywa aż do nadejścia terminu wysyłki. Stąd prowadzą całą partyę pod konwojem w kajdanach ręcznych — na dworzec kolejowy, skąd aresztanckim wagonem dowożą go do następnego punktu etapowego n. p. do Wilna lub Mińska Litewskiego. Tam znów miesiące siedzenia w więzieniu transportowem, póki nie nadarzy się większa partya do wysłania we właściwym kierunku n. p. do Moskwy. Tu powtarza się to samo, co w Mińsku, a więc długie i pełne mąk siedzenie w transportowem więzieniu „na Butyrkach". Wielki czworobok z kamienia o okrągłych, narożnych, opatrzonych blankami wieżach, robi wrażenie średniowiecznego feodalnego zamku. Turma wsławiona ostatnio dziejami Spirydonówny, pamięta dawne czasy. Miała ona niejedną historyczną chwilę. Dziś jeszcze pokazują tam celę i żelazną klatkę, w której wystawiony był ludowi na pokaz i pohańbienie kozacki pretendent do carskiego tronu Puhaczew.

Podobnie pamiątkowe cele i komnaty posiadają w Rosyi nietylko gmachy więzienne, jak Petropawłowska forteca w Petersburgu (cela zatopionej w niej zagadkowej Ali Emete, księżniczki Tarahanówny, domniemanej córki carowej Elżbiety). Pokazują tak do dziś w Moskiewskim Kremlinie miejsce, na którem Groźny car Iwan ubił swą nieodstępną włócznią własnego syna, carewicza Fiedora. Obraz Krepina, przedstawiający tę chwilę z życia północnego Nerona, zawsze skupia przed sobą licznych widzów w „Galeryi Tretjakowych" w Moskwie. Tak samo cicerone wskazuje niewielki gabinecik z oknem na Newę, gdzie legł z ręki ojca, jedyny syn i prawy następca pierwszego imperatora. Jest śmiertelna komnata holsztyńczyka Piotra w Oranienbaumie, jest inna w dzisiejszym „inżynierny zamku" w Petersburgu, gdzie gardło Pawła wydało ostatni jęk śmiertelny pod błękitną wstęgą Panina, zaciskaną rękami syna Aleksandra, późniejszego na stępcy. Długa byłaby lista, gdybyśmy ją chcieli wyliczać do końca, zresztą końca jej jeszcze nie widać.

Na Butyrkach czeka się miesiącami na dalszy transport do Archangielska, Orenburga lub Tobolska. Zanim dojedzie się do miejsca przeznaczenia, zwiedzi się po drodze kilka takich więzień transportowych, z których w każdem siedzieć można po miesięcy kilka, czasami więcej.

Te dzisiejsze jednak etapy są rajem w porównaniu z dawnymi, kiedy to latem, upadając ze znużenia, zimą — odmrażając kończyny, szło się tysiąc wiorst pieszo pod konwojem.

Na zesłanie i na etapy dzieci nie posyłają, natomiast między miejscowemi więzieniami kursuje ich bardzo wiele i to, poczynając od lat ośmiu. Widzieliśmy takiego dziewięcioletniego chłopca, gdy go przyprowadzono pod konwojem czterech rosłych gwardzistów z jednego z pawilonów w cytadeli do lekarza, który mu opatrywał rany tłuczone od kolby. Dzieci te zwykle zajmujące się na mieście kolporterką gazet, tutaj wypoczywają, bo jeśli kursuje tu tak zwana literatura drukowana legalna, a w szczególności nielegalna, to kolportują ją wyłącznie prawie żołnierze. Fachowa zaś dziatwa kolporterska umieszczana bez wyboru w celach przestępców, najczęściej kryminalnych, nie politycznych — ulega wpływowi swych towarzyszów w kierunku najmniej pożądanym. Niesłusznem więc jest narzekanie, jakoby państwo nie troszczyło się o sprawy szkolne i wychowawcze dzieci i młodzieży. Wsadzanie dzieci do kryminału wystarcza tu w zupełności za akademię, z której wychodzą w najlepszym razie bojowcy — w gorszym skończeni, przynajmniej teoretycznie, kryminaliści.

Oddzielne cele mieszczą chorych umysłowo, osobno mężczyzn, osobno kobiety. Również oddzielną celę zajmują prostytutki, których w ratuszu zamkniętych jest zwykle kilkanaście.

W celi waryatów jest obecnie trzech mężczyzn. Jeden — podejrzany o symulacyę, siedzi osobno.

Bywa niekiedy, że wsadzają tu całe korporacye. Tak było naprzykład z rzeźnikami, kamasznikami i innymi, których całe cechy siedziały po parę tygodni. Los ich dzielili także w swoim czasie garbarze.

(Dokończenie nastąpi).

Rosya na przełomie.

Jak było do przewidzenia, rewolucya rosyjska, która w ciągu kilku dni zaledwie zniosła rządy cara i biurokracyi, nie mogła w tak krótkim czasie utrwalić normalnych stosunków w tak olbrzymiem państwie. Po krótkim okresie względnego spokoju zaczynają wyłaniać się nowe antagonizmy pomiędzy rządem tymczasowym a sferami robotniczo socyalistycznemi. W ostatnich zwłaszcza dniach te przeciwieństwa przybrały tak ostrą formę, że jak donoszą korespondenci, Rosya stanęła wobec widma wojny domowej. Rząd tymczasowy z prezydentem gabinetu Lwowem, ministrem spraw zagranicznych Milukowem i min. wojny Guczkowem na czelę, ma swych zwolenników, ale także i przeciwników, a nieporozumienia wynikły głównie na tle pokoju. Gdy rząd tymczasowy stoi na stanowisku dochowania wierności sprzymierzeńcom i prowadzenia wojny aż do końca, wśród sfer robotniczych szerzy się coraz



Rosya na przełomie: Poseł do Dumy Maslennikow przemawia do żołnierzy na froncie.

gwałtowniejsza agitacya za natychmiastowem rozpoczęciem rokowań pokojowych. Na tym tle wynikły nieporozumienia pomiędzy rządem tymczasowym a drugim nieoficyalnym rządem t. j. Radą delegatów robotniczych, które doprowadziły nawet do walk ulicznych. Rząd tymczasowy starał się uspokoić wzburzone tłumy i wydał w tym celu dlngą odezwę następującej treści:

„W dniu strącenia starego rządu rząd tymczasowy uświadamiając sobie doniosłość zadań, przed któremi stanął, tudzież olbrzymią odpowiedzialność, jaką nań wkładało brzemię władzy, przystąpił do przeprowadzenia programu swobód społecznych i do dalszego prowadzenia wojny w ścisłej łączności ze sprzymierzeńcami. (Proklamacya wylicza tutaj wszystkie zarządzenia rządu, wynikające ze zobowiązań przyjętych na się wobec kraju, w tem szczególnie amnestyę, usunięcie kary śmierci, równouprawnienie obywateli, swobodę stowarzyszeń i zgromadzeń i t. d.). Mimo to rząd tymczasowy nie może zatajać trudności, z jakiemi spotyka się jego działalność i które w ostatnich czasach tak bardzo wzrosły, że wywołują niepokojące troski co do przyszłości. Rząd szukał oparcia w siłach moralnych. Ani jedna kropla krwi synów narodu nie polała się z jego winy, ani jedna myśl nie została przezeń stłumiona. Niestety społeczny rozwój kraju opóźnił się wskutek trudności wywołanych przez obalenie dawnego rządu. Niektóre grupy pewnych klas ludności, które nie uświadamiają sobie dobrze znaczenia chwili, starają się swoje dążenia urzeczywistnić sposobami gwałtownemi, które grożą zniszczeniem karności wewnętrznej i wywołaniem anarchii. Rząd uważa za swój obowiązek jasno oświadczyć, że ta okoliczność utrudnia administracyę kraju i grozi niebezpieczeństwem uwikłania kraju w wewnętrzne trudności, a klęską na froncie. Przed Rosyą staje widmo anarchii i wojny domowej, zagrażając jej wolności“.



Rosya na przełomie: Manifestacya na Newskim Prospekcie w Petersburgu.



Z frontów bojowych: Komenda kompanii i magazyny na południowym froncie.



Rosya na przełomie: Minister wojny Guczkow (X) na zgromadzeniu żołnierzy.

Utworzony zostanie fundusz w sumie dwudziestu pięciu miliardów franków na odszkodowanie dla poszkodowanych przez wojnę. Strony wojujące biorą udział w odszkodowaniach, które będą oznaczane na podstawie wykazów państwa i poszkodowanej ludności.

Aby utrzymać i wzmocnić osiągnięte swobody, wzywa odezwa wszystkich, by zjednoczyli swoje usiłowania celem popierania tej siły, która te swobody chroni.

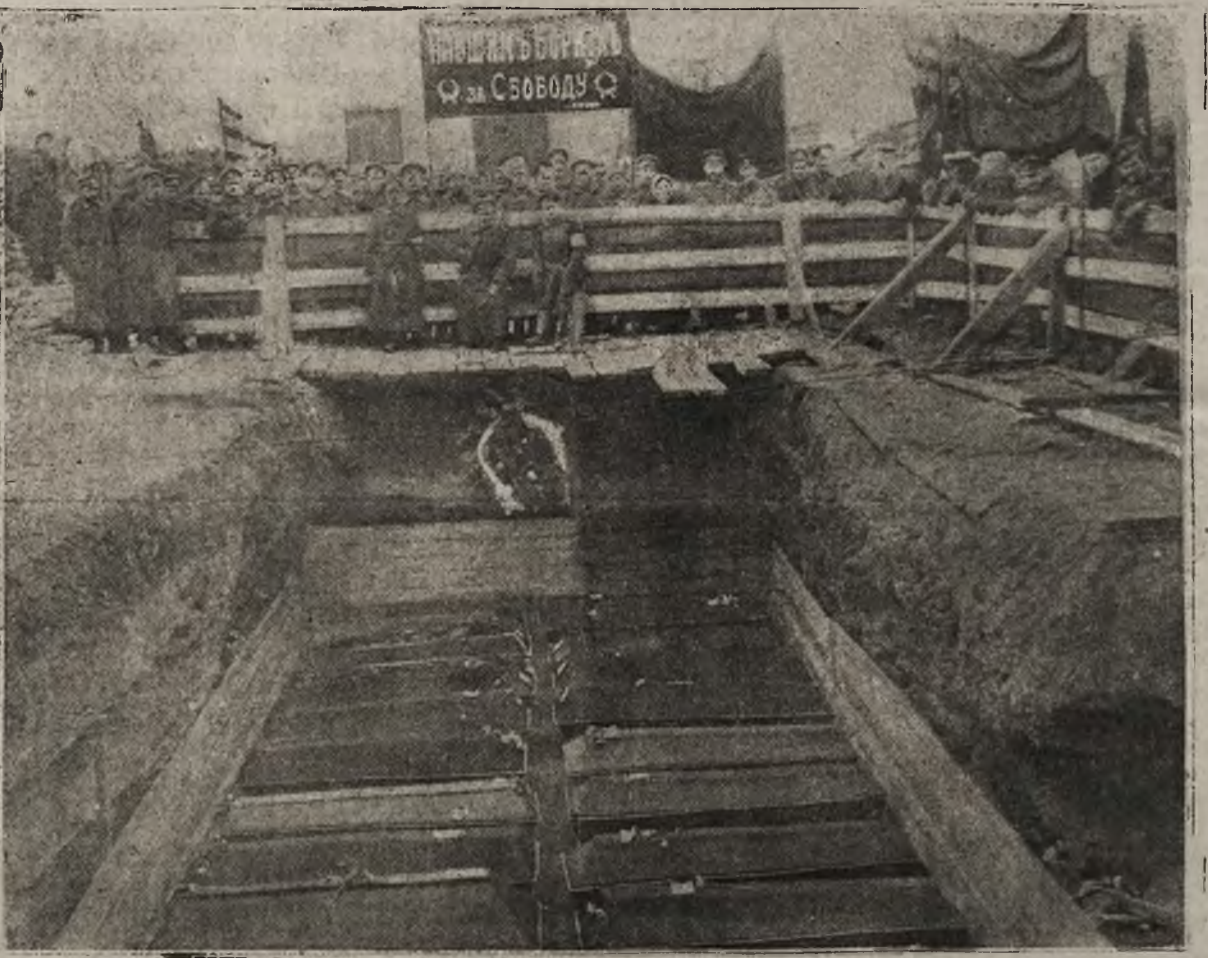
Czy usiłowania rządu tymczasowego osiągną zamierzony skutek i czy uda mu się uspokoić nowe fale rewolucyi ogarniającej państwo — najbliższa przyszłość okaże. Ale niepodobna pominąć programu pokojowego przeciwników tymczasowego rządu rosyjskiego. Streszcza go organ ministra sprawiedliwości Kiereńskiego, „Roboczaja Gazeta", która podaje następujące konkretne warunki rokowań pokojowych:

1. W pewnym oznaczonym dniu ustają wszelkie działania wojenne na lądzie. Stan rzeczy na morzu pozostaje bez zmiany.
2. Podstawą do wytyczenia granic krajowych pozostaje dawna mapa Europy.
3. Obie strony walczące zastrzegają sobie prawo do pewnych terytoryów gwarancyjnych, które przed wojną znajdowały się w obcem posiadaniu.
4. Ludność krajów granicznych ma prawo wyrazić życzenie utworzenia państwa niezawisłego, tudzież zgłosić pretensye do pewnych terytoryów państw wojujących. Oświadczenie będzie wzięte pod rozwagę, jeżeli je poprze conajmniej dziesięć procent dorosłej ludności.

W wypadkach przytoczonych w ustępach trzecim i czwartym, zarządzi konferencya pokojowa głosowanie ludowe (plebiscyt) w ciągu pewnego terminu na podstawie powszechnego, równego i tajnego głosowania. Wynik głosowania, stwierdzony pod kontrolą przedstawicieli obu stron wojujących i ludności miejscowej, będzie stanowczem rozstrzygnięciem kwestyi.

Z frontów bojowych.

Nowa próba przerwania frontu niemieckiego przez Anglików, zaraz w pierwszym dniu czwartej bitwy pod Arras doznała niepowodzenia. Szeroka linia frontu ciągnęła się na przestrzeni trzydziestu kilometrów od Acheville de Quéant. Anglicy ponawiali swe ataki od świtu do późnej nocy. Odparte one zostały częściowo ogniem obronnym, częściowo zaś kontratakami Niemców. Tylko w Fresnoy udało się Anglikom wtargnąć i pod Bullecourt, na południowym froncie linii bojowej, zająć bardziej wysunięte naprzód stanowiska Niemców. Fresnoy leży między Acheville i Oppy, na drodze do Henin Dietard, w oddaleniu mniej więcej siedm kilometrów od tego punktu skrzyżowania linii kolejowych. Angielskie oddziały atakujące wystąpiły w sile 16—17 dywizyi, na każdą przeto dywizyę wypadło mniej więcej po półtora kilometra przestrzeni. Jeśli przyjmie się, że dywizya liczy piętnaście batalionów, to każdy



Rosya na przełomie: Pogrzeb ofiar rewolucyi w dniu 5. kwietnia.



Obrazki wojenne: Oficerowie austryaccy w niewoli rosyjskiej w Suzdalu.

batalion zajął około półtora kilometra, obsadzono więc linię bardzo gęsto. Ponadto Anglicy wprawili w ruch ogromne masy kawaleryi na południowy wschód od Arras. Miały one uzupełnić zwycięstwo i ruszyć po niem za uchodzącym przeciwnikiem. Angielska kawalerya wyczekiwała naprożno. Walka nie rozstrzygnęła się na korzyść ofenzywy.

Na niemiecko-francuskiej linii bojowej trwa dalej z jak największą gwałtownością pojedynek artyleryi. Pomiędzy rzeką Aisne a Brimont, zatem w północnej części kanału Aisne—Marne, napełniły się okopy nieprzyjacielskie ogromną obfitością żołnierza, co wskazywało na chęć urządzenia nowych napadów. Niemieckie bateryе jednak obróciły ten zamiar w niczecz.

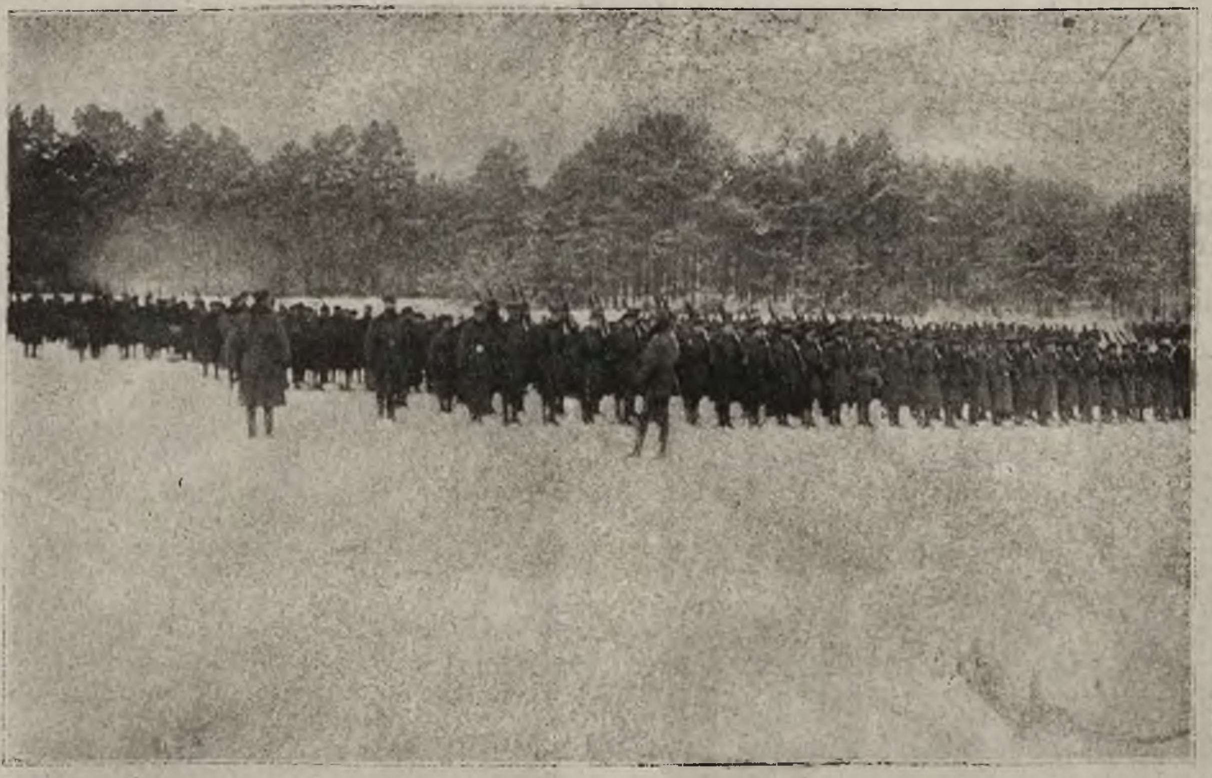
Okropności toczących się obecnie na zachodnim froncie walk opisuje barwnie korespondencya „Berliner Tagbl.", w której między innemi czytamy:

„Trudno to wogóle opowiedzieć. Nie można opowiadać rzeczy ostatecznych, najwewnętrzniejszych... Przerażenie! Wobec tego przerażenia wszyscy autorowie, którzy zyskali sławę, malując podobne stany, są partaczami, niewinnymi sielankarzami. Aż do przedwczoraj i ja o tem nie wiedziałem. Dawniej, czytając o katastrofie w kopalni, rozmyślaliśmy nad strasznemi chwilami życia tych zasypanych ludzi. Ale ogień huraganowy — to szał. Całymi dniami, całemi nocami. A potem przychodzi jeszcze większy i jeszcze straszniejszy szał: gdy fale nieprzyjaciół

napływają pod nasze okopy w szturmie. Przedtem dniem i nocą jeden tylko we mnie głos: czy twoje karabiny maszynowe są w porządku na kilka rozstrzygających chwil, podczas których pod żadnym warunkiem nie mogą zawieść. Wystarczy odrobina piasku, ażeby wstrzymać działanie tych małych maszynek. Ten głos w żywem sercu już targa wszystkimi nerwami, mimo strasznego znużenia, mimo umierania, mimo ognia huraganowego.

Trzeba ciągle wśród lejów po granatach pełzać od jednej patroli do drugiej. Czy wszystko w porządku? Dzisiaj z pewnością coś będzie, przed południem, w najbliższej godzinie, może teraz. Na skrajnem prawem skrzydle karabin maszynowy. Od pierwszego dnia bitwy żołnierze mieli tutaj właśnie największe straty. Stajemy się przesądnymi. Ten właśnie karabin. Jeszcze do niego nie dopełzłem. Syk, trzask — żelazo i kamienie parzą powietrze. Jeden zabity, dwaj ciężko ranni, inni lekko. Sanitaryusze! Ratować tych, których jeszcze można uratować. Posłać na tyły po rezerwy! Jak najprędzej! Rannych zanieść w tył do sztolni.

Muszę tu zostać sam jeden. Na wszelkie wypadki. Co? Gdzie? Czy już idą? Teraz właśnie musi przyjść pierwszy atak piechoty nieprzyjacielskiej. Muszę sam obsługiwać karabin maszynowy. Aż do nadejścia rezerw. Serce moje nagle staje się spokojnem. Głos we mnie powiada: „Spełnij swój obowiązek“. Oczywiście. W tej chwili rozumie się to samo przez się. Moje oczy widzą tylko cel. I znowu syk i trzask — uderzenie w ziemię poza mną. Właśnie w sztolnię! Zasypani! Krzyki, wołania. Z ziemi, z głębi. Kamienie i skiby ziemi pokryły ociekające krwią istoty ludzkie, gniotąc je coraz bardziej.



Legiony w Królestwie Polskiem: Ćwiczenia piechoty w Zambrowie według nowego regulaminu (karabiny na ramieniu, podobnie jak w armii niemieckiej i rosyjskiej).



Komenda drugiej brygady



Posterunek na moście.

Legiony w Królestwie Polskiem

Do spokojnego głosu we mnie przybywa głos drugi, którego właściwie nie powinienem słuchać, ale którego nie mogę się pozbyć, bo tam pod ziemią walczy życie ze śmiercią, zupełnie, jak tutaj, rozpaczliwiej, niż tutaj. Tymczasem mój karabin maszynowy dał salwę do pierwszej fali nieprzyjacielskiej, która się rwie, łamie, cofa. „Dobrze, dobrze“ — powiada głos we mnie. „Pomocy! Ratunku! — woła z jękiem drugi głos z pod ziemi, straszliwie zduszony. To rozdziera na poły serce. To boli bardziej, niż najcięższa rana. Zmuszam się do wytrwania na miejscu. Byłoby obłędem pełzać do sztolni, ratować zasypanych. Musi przyjść druga fala nieprzyjacielska. Trzeba spokoju, spokoju. Musisz słuchać głosu w sobie, a nie tego drugiego głosu. A ten drugi głos stał się już bardzo przyciszony.

Mój karabin gra. Czy długo to już trwa? Czy długo będzie trwało? A piekło wyrzuca nowe fale. Ludzie padają — padają — padają. Powstają wzgórki z trupów przedemną, tworząc zasłony dla następnych fal nieprzyjacielskich. Straszne rzeczy — potwornie straszne. Tylko jeden głos rozkazuje we mnie. A drugi? Drugi głos zamilknął. Pod ziemią skończyła się walka, która tu na wierzchu dalej szaleje“.



Z frontów bojowych: Zdruzgotany automobil na południowym froncie. Obok szofer, Władysław Wach, z Galicyi.

Poza walkami na froncie zachodnim ostatnie dni przyniosły niespodziewaną ofenzywę wojsk koalicyi na froncie bałkańskim. Urzędowy komunikat niemiecki o ofenzywie tej donosi: Na froncie macedońskim bitwa toczyła się z największą zaciekłością i swą gwałtownością przewyższyła wszystkie dotychczasowe walki na tym terenie wojny. Na północny zachód od Monastyru rozbiły się nieprzyjacielskie ataki, które miały na celu zajęcie naszych pozycyi wyżynowych. W łuku Czerny rano, po południu i wieczór przygotowane najsilniejszym ogniem artyleryjskim i minowym, wykonane na froncie szesnastu kilometrów masowe ataki Włochów, Francuzów i Rosyan, zostały odparte wśród najcięższych strat nieprzyjaciela. Serbów, którzy na północ od Vodeny wdarli się do naszych pozycyi, krwawo wyrzucono. Sprzymierzona niemiecka i bułgarska piechota, w najuporczywszej obronie i w zaciętych kontratakach, wspierana przez artyleryę szybko dostosowującą się do wszelkich sytuacyi, utrzymała całkowicie swe pozycye i biła się świetnie.

Trzy pokolenia na scenie.

Adolfina Zimajerowa, Helena Zimajer Rapacka i Helusia Rapacka, to jedyny w dziejach teatru fakt, aby jednocześnie babka, matka i córeczka występowały obok siebie.

O pani Adolfinie Zimajerowej rozpisywać się chyba nie potrzeba. Któż nie zna tej znakomitej, a tak zasłużonej artystki? Kto nie pamięta tryumfów jej w całym kraju i za granicą, gdy, jako Ni touche, wdziękiem i finezyą zachwycała bywalców



Trzy pokolenia na scenie: Adolfina Zimajerowa.

teatralnych. Niezwykle świetna karyera artystyczna pani A. Zimajer nie ograniczyła się na sukcesach w kraju, ale szeroko i daleko rozniosła jej sławę na scenach światowych w Wiedniu, Berlinie, Hamburgu, Peszcie, Hannowerze, New Jorku i t. d., wszędzie zachwycano się jej grą, unoszono nad wdziękiem, naśladowano jej śmiech, jednem słowem, i za granicą „Zimajerka" była ukochanem dzieckiem publiczności. Trudneby było wyliczyć wszystkie tryumfy znakomitej artystki, dość wspomnieć, że, angażowana w „Carltheatrze" w Wiedniu, grała pani Zimajer przed cesarzem Franciszkiem Józefem w operetce „Modelka", a rozśmieszony do łez monarcha, po duecie i tańcu jej z aktorem Blaslem,



Trzy pokolenia na scenie: Halusia Rapacka.

pierwszy uderzył brawo. W Berlinie, w roku 1884, w teatrze Walhalla, obecny na tem przedstawieniu następca tronu Fryderyk (późniejszy cesarz Fryderyk) nie szczędził również oznak zadowolenia. Po całym szeregu lat, spędzonych na scenach zagranicznych, wróciła p. Zimajer z powrotem na polską scenę, obecnie zaangażowana stale w Teatrze Ludowym w Krakowie.

Druga z artystek, córka p. A. Zimajerowej, Helena Rapacka, po matce odziedziczyła talent i sympatye publiczności. Czy to, jako młodziutka wówczas panna Zimajerówna, grała z matką razem „Grzeszki Babuni", czy to jako „Myszka" Paillerona wraz z Hofmanową dzieliła powodzenie, czy też jako późniejsza pani Rapacka, występowała z powodzeniem na scenie teatru „Rozmaitości" w Warszawie, cieszyła się uznaniem takich krytyków, jak Kenig, Gawalewicz, Krechowiecki i inni.

Zaangażowana następnie wraz z mężem do Łodzi, do teatru M. Wołowskiego, była p. Rapacka filarem i podporą repertuaru sceny łódzkiej wespół z Trapszami, Sosnowskim, Ordonówną i Tarasiewiczem. Następnie angażowana do Lwowa, a potem z własnem towarzystwem matki jedzie do Petersburga, Moskwy, Odessy, Jekaterynosławia, Dorpatu, Rygi i t. d. i wszędzie zdobywając sympatye publiczności.

Kraków poznał p. Rapacką, jako ujmującą wdziękiem pieśniarkę wtedy, kiedy występowała w „Figlikach" Schifmana. Później grała w Teatrze miejskim im. Słowackiego i Ludowym, obecnie koncertuje w Galicyi i Królestwie. Żałować należy, że artystka tak utalentowana nie może znaleźć miejsca na scenie, na przykład teatru Ludowego, gdzie mogłaby pracować stale z pożytkiem dla sceny.

Najmłodszą latoroślą artystycznej rodziny jest



Trzy pokolenia na scenie: Helena Zimajer-Rapacka.

młodziutka Halusia Rapacka. W innym kierunku rozpocząwszy zawód artystki, już zwraca na siebie ogólną uwagę, rokując najpiękniejsze nadzieje.

Halusia Rapacka występuje jako tancerka klasyczna, jej taniec robi dziwne wrażenie. Dziecko to jeszcze, ale już „artystka aktorka". Jej taniec — to nie banalne skoki i wyłamywania nóg i rąk — lecz odczucie melodyi.

W Krakowie występowała Halusia kilkakrotnie, jako tancerka, wzbudzając zachwyt publiczności i uznanie krytyki... Cieszyły się zwłaszcza wielkiem powodzeniem wspólne występy „trzech pokoleń", pp. Zimajerowej, Rapackiej i Halusi, które miały ostatnio miejsce w dniu 10. b. m. na „Wieczorze polskim" w Wiedniu, urządzonym staraniem Ligi Kobiet N. K. N.



Legiony w Królestwie Polskiem: Koszary pierwszego pułku w Zambrowie.



Z frontów bojowych: Aparat do dezynfekcyi ubrań w polu.

A. K. Green

Zbrodnia w „Białym Domku“

Tłumaczyła: Marya Segeny.

15

— Ten człowiek tu? — zawołała — Ależ to niemożliwe! On mnie przecież nie zna wcale, a ja go również widzę po raz pierwszy!

— Czy przypomina sobie pani, miss Darnell, pewne spotkanie z młodym człowiekiem w szopie węglarzy, znajdującej się w lesie? Było to w popołudniowych godzinach i czas był bardzo burzliwy.

— Czy był kto świadkiem tego widzenia? — zapytała Beatrycza ledwie dosłyszalnym głosem.

— Mówiła pani wówczas do pana Hickory'ego, biorąc go za Cyryla Morgan.

— To niemożliwe! — powtórzyła młoda dziewczyna bezsilnie. — Nie uwierzę nigdy, aby ten człowiek mógł mnie oszukać do tego stopnia!

Ale już Hickory, jak aktor zawodowy, usiadł na krześle w zgnębionej postawie, jaką wówczas przybrał w szopie i ukrył twarz w dłoniach.

Miss Darnell na ten widok cofnęła się przerażona.

— Teraz pani rozumie, jakiego użyto sposobu, aby podejść panią. — podjął pan Ferris — Zapewnie nie zapomniała pani przebiegu rozmowy, która wtedy między wami miała miejsce?

— Ale ja otrzymałam list. — szepnęła Beatrycza z wysiłkiem — Więc i ten list był fałszywy?

— Nie, miss Darnell — wyrzekł obojętnie Hickory — adres tylko był wypisany moją ręką...

— A list? List?

— List był napisany przez pana Morgan, tylko, że go następnie wrzucił do kosza z papierami.

— A pan mi ten list przysłał?

— Tak.

— Pan Morgan o tem nic nie wiedział? — badała z gorączkowem podnieceniem miss Darnell.

— Nie.

— To nie on przybył do Sydney? I przyznał się wobec mnie...

— Nie, miss Darnell, to ja.

W zachowaniu się młodej dziewczyny nastąpiła nagła zmiana. Rysy jej twarzy wypogodziły się, a w oczach błysnęła nadzieja.

— I do tej pory zachowano to przedemną w tajemnicy?! — zawołała z oburzeniem.

— Zapewne, należało panią o tem wcześniej poinformować. — odrzekł prokurator — Mogę tylko pani powtórzyć, że gdybym sam wcześniej o tem był wiedział, nie byłbym nigdy pani pozostawił w tej nieświadomości. Nie można zaprzeczyć z drugiej strony, że wiara pani w winę pana Morgan wpłynęła bardzo niekorzystnie na jego sprawę. Sędziowie przysięgli przejęli się przekonaniem pani i byli gotowi uważać to za rzecz pewną.

Miss Darnell objęła prokuratora długiem i badawczem spojrzeniem.

— Więc jest możliwem... — zaczęła, ale przerwała nagle.

Spokojna i nieprzenikniona twarz pana Ferris wskazywała, że niechętnie zdradzi teraz swoje przekonanie o tem, co się tyczyć mogło niewinności Cyryla Morgan.

Jednakże prokurator, widząc zmieszanie młodej dziewczyny, nie mógł się oprzeć pewnemu odruchowi sympatyi i życzliwości.

— Byłbym szczęśliwy, miss Darnell — wyrzekł łagodnie — gdybym mógł pani wyrazić kilka słów zachęty i nadziei, ale, w stanie obecnym rzeczy, mogę tylko poradzić pani zdać się na rozum tych, których obowiązkiem jest wykryć prawdę. Co zaś do nieszczęsnego wyznania pani, któremu dała się pani pociągnąć dziś rano, to mam nadzieję, że wybaczonem pani zostanie. Weźmiemy je na karb silnego zdenerwowania, przelotnego zaniku przytomności, spowodowanego cierpieniami pani i rozstrojem nerwów.

— Dziękuję panu. — odpowiedziała z roztargnieniem młoda dziewczyna, mniej zainteresowana sytuacyą, na którą ją narażało jej fałszywe zeznanie, niż wynik wiadomości, jaką otrzymała niespodzianie.

Chciała jak najprędzej pozostać sama, aby módz do woli rozmyślać nad zachowaniem się Morgana, które objawiło się jej teraz w całkiem innem świetle i rozważyć wartość prawdziwą innych okoliczności, które jeszcze rzucały cień na jego niewinność.

Odgadując stan jej umysłu, prokurator nie chciał również przedłużać rozmowy. Zresztą, nie dawała mu ona żadnego innego wyjaśnienia.

— Pani zapewnie pragnie powrócić do siebie? — zapytał, patrząc ze współczuciem na Beatrycze.

— Tak, panie prokuratorze — odpowiedziała — Czy mógłby mi kto powóz sprowadzić, bo czuję się bardzo osłabioną.

Na znak, dany przez pana Ferris, Byrd wybiegł spiesznie uskutecznić pragnienie młodej dziewczyny. W kilka minut później miss Darnell opuszczała pałac Sprawiedliwości, aby powrócić do West-Ridge.

Wypadek.

Na kilka minut przed godziną dziewiątą wieczorem główne drzwi willi profesora Darling rozwarły się ostrożnie i na progu ukazała się wysmukła postać miss Beatryczy Darnell.

Instynktownym ruchem młoda dziewczyna popatrzyła wokoło siebie i skierowała się tak szybko w stronę Sydney, że Hickory zaledwie mógł za nią pospieszyć. Detektyw z polecenia prokuratora miał rozkaz śledzenia Beatryczy aż do godziny dziewiątej, bo w tym to czasie Byrd miał z kolei zastąpić go w dopełnieniu tej funkcyi.

Miss Darnell jednak, zamiast podążyć do miasta, zwróciła się w prawą stronę, w aleję, nieznaną Hickory'emu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności napotkał on w tej chwili Byrda, który nadchodził główną drogą od Sydney. Podążyli więc razem dalej.

— Czy pan wie, dotąd prowadzi ta aleja? — zapytał Hickory.

— W różne strony — odparł tenże — ale także i do domu pana Ormond.

— Ach! Więc do niego zapewne udaje się miss Darnell.

— Tak by sądzić należało.

Obydwaj detektywi śledzili dalej ostrożnie idącą. Nie potrzebowali się obawiać, aby ich spostrzegła, bo biegła szybko i ani razu nie obejrzała się poza siebie.

Doszedłszy wkońcu do ogrodu, okalającego dom adwokata, pchnęła furtkę i weszła do środka. Początkowo zamierzała iść ku głównemu wejściu, lecz rozmyśliła się nagle i okrążyła trawnik, podchodząc do szerokich, szklanych drzwi, prowadzących wprost do gabinetu pana Ormond. Z poza koronkowej zasłony przez drzwi te padała wązka smuga światła, odrzynająca się jaskrawo w ciemnościach, otaczających dom cały.

Podczas kiedy Byrd i Hickory starali się ukryć za szerokim pniem rosnącego tu kasztana, miss Darnell podsunęła się pod drzwi i spojrzała do gabinetu. Adwokat siedział przy biurku i przerzucał z roztargnieniem akta jakieś, rozłożone przed nim.

Wyraz twarzy pana Ormond zwrócił uwagę młodej dziewczyny. Widocznem było, że adwokat oddaje się ciężkim jakimś rozmyślaniom. Silne, poprzeczne zmarszczki wystąpiły na jego czoło, a wzrok, bezmyślnie utkwiony w papierach, trzymanych w rękach, martwy był i bez blasku. Od czasu do czasu gorzki uśmiech wykrzywiał jego usta i wtedy taki wyraz dzikiej nienawiści szpecił jego rysy, że Beatrycza cofnęła się, przejęta przestrachem i zdumieniem.

O niej to zapewnie myślał w tych niepokojących chwilach, o skandalu, wywołanym przez nią na sali rozpraw i przez który odtąd stawała się niegodną szacunku i miłości uczciwego człowieka. Beatrycza przywołała na pomoc całą swoją energię i odwagę, aby nie cofnąć się stąd natychmiast i nie zdradzić swojej obecności. Bo w takich warunkach jakiegoż przyjęcia doznać mogła? Jednakże, pomimo wszystko, Beatrycza miała tu ważną misyę do spełnienia i kierując się tylko tą myślą, zapukała dwukrotnie do okna. Natychmiast pan Ormond przybrał niewzruszony wyraz twarzy i powstał, żeby drzwi otworzyć.

— Kto tu jest? — zapytał z zniecierpliwieniem, ale, poznawszy Beatrycze, cofnął się zdumiony. — Ty, tutaj? — zawołał wzruszony.

— Tak, to ja. Pragnę pomówić z panem.

Pan Ormond odstąpił od drzwi, przepuszczając młodą dziewczynę.

— Nieszczęśliwe dziecko — wyrzekł z głębokim wyrzutem w głosie. — Coś ty uczyniła? Czy nie było dla ciebie wystarczającem, że pogardziłaś moją miłością i wywołałaś moje cierpienie? Chciałaś mnie udręczyć jeszcze więcej, składając fałszywe zeznanie, opowiadając rzecz niemożliwą do uwierzenia!? Czy nie rozumiałaś, Beatryczo, że skompromitowałaś się na zawsze i w jakim celu jeszcze? Bo, gdyby chociaż poświęcenie się twoje mogło uratować tego, na którym ci tak gorąco zależy!

Miss Darnell wysłuchała tych gorączkowych słów bez drgnienia, tylko uśmiech łagodny błąkał się po jej drżących wargach.

— Beatryczo — podjął znowu pan Ormond urywanym głosem. — Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, coś uczyniła?

— Uczyniłam to z całą świadomością umysłu — odezwała się wkońcu młoda dziewczyna. — Każda inna kobieta na miejscu mojem uczyniłaby to samo. Kiedy już niema innego wyjścia, jesteśmy zmuszone powiedzieć prawdę.

— Prawdę? — powtórzył pan Ormond pogardliwie. — I ty śmiesz, Beatryczo, utrzymywać wobec mnie, że powiedziałaś prawdę, oskarżając się o popełnienie tej zbrodni?

Miss Darnell otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Po dłuższej chwili dopiero zapytała spokojnie:

— Skąd pan wiedzieć może, że nie powiedziałam prawdy?

— Skąd wiem? Ależ, przez litość, przypomnij sobie czyny twoje, słowa, całe zachowanie się twoje od dnia, kiedy byłaś świadkiem agonii pani Clemmens.

Bez najmniejszego zmieszania miss Darnell ciągnęła dalej:

— Proszę mi wymienić chociaż jedno słowo, jeden gest, świadczący o mojej niewinności.

Pan Ormond nie mógł dłużej powstrzymać wybuchu szalonego gniewu, który go nurtował od chwili.

— Milcz, Beatryczo! — rozkazał gwałtownie. — Nie mogę dłużej słuchać podobnych niedorzeczności! Czy nie możesz się zadowolnić przeświadczeniem, że sprowadziłaś moje nieszczęście? Powiedz mi raczej, co cię popchnęło do uczynienia takiego szaleństwa? Straciłaś więc zupełnie wiarę we mnie? Czy nie mówiłem ci i nie powtarzałem kilkakrotnie, że uratuję tego człowieka przed niebezpieczeństwem, jakie mu groziło? Więc zapomniałaś o mojem przyrzeczeniu, albo też lekceważyłaś je sobie!

— Pan nie jest wszechmocny! Są pewne granice, których największy rozum i zręczność przejść nie może. Wiedziałam, że pan Morgan będzie zgubionym, jeżeli wyjawię przed sądem okoliczności mnie tylko wiadome. A pan Ferris oczekiwał na to zeznanie i byłam zmuszona je uczynić.

— Przyznajesz więc, Beatryczo — podchwycił żywo pan Ormond — że zeznałaś fałszywie, nie chcąc złożyć zeznania, mogącego zaszkodzić panu Morgan?

Uśmiech, pełen smutku, pojawił się na ustach młodej dziewczyny.

— Tak — odparła spokojnie — nie mam już powodu ukrywać tego przed panem: skłamałam, myśląc, że tem uratuję pana Morgan. Dano mi do zrozumienia odrąd, że kłamstwo nie zostanie przyjęte za prawdę i że czyn mój był nieobliczalny.

— To było jasne dla wszystkich.

— Dziwiono się również, wiem o tem dobrze, że mogłam chociaż na chwilę podejrzywać pana Morgana o zamordowanie swojej ciotki. Ale nie wiedzą, na czem opierałam to podejrzenie.

— O czem chcesz mówić, Beatryczo?

— Coby pan pomyślał, gdybym powiedziała panu, że widziałam go tak, jak teraz widzę pana przed sobą, wychodzącego z domu pani Clemmens o godzinie dwunastej w owym dniu fatalnym?

— Żartujesz chyba!

— To najczystsza prawda — odparła stanowczo miss Darnell — Widziałam go z wieżyczki laboratoryum profesora Darlinga.

— I mogłaś go rozpoznać na taką odległość? — zapytał powątpiewająco pan Ormond.

— Użyłam lunety, chcąc dostrzedz godzinę na ratuszowym zegarze. Pan Ferris chciał, abym uczyniła to wyznanie przed sądem. Niech pan sam osądzi, w jakiem położeniu znalazłby się wówczas pan Morgan! Czy byłby pan w stanie wówczas go obronić?

— Mówisz, Beatryczo, że to było o godzinie dwunastej? — zapytał niepewnym głosem pan Ormond.

— Dwunasta bez pięciu minut. — poświadczyła z pewnością siebie miss Darnell — Taką godzinę wskazywał wówczas zegar na wieży!

— To doprawdy nie do uwierzenia! — szepnął, zamyślając się głęboko, pan Ormond.

— Jeszcze nie skończyłam. — podjęła żywo młoda dziewczyna — Przez niegodny podstęp ten detektyw z Nowego Jorku potrafił podejrzenia moje zamienić w pewne przekonanie.

— Przez podstęp? — powtórzył ze zdziwieniem adwokat — Cóż to znowu nowego?

Beatrycza, w słowach pełnych oburzenia i wzgardy, opowiedziała zajście swoje w szopie węglarzy.

— Czyż mogłam wiedzieć, że to nie był Morgan? — kończyła, drżąc z gniewu — Ten detektyw umiał mnie podejść do tego stopnia, że ani na chwilę nie przypuszczałam, że mówię do kogo innego. I jakże wówczas mogłam nie uwierzyć w jego winę. Rodzona matka jego, byłaby tak samo sądziła, gdyby się była znalazła na mojem miejscu.

Dziwna jakaś niemoc zdawała się opanowywać pana Ormond. On, który w innej okoliczności w najostrzejszych słowach zganiłby sposób postępowania Hickory'ego — milczał teraz, poruszając ma-

chinalnie głową, podczas kiedy młoda dziewczyna mówiła dalej. W końcu miss Darnell dostrzegła to nienormalne zachowanie się jej opiekuna.

— Pan mi nie odpowiada? — wyrzekła bezsilnie — Czyżby pan już nie chciał dalej bronić sprawy swojego klienta? Jeżeli tak jest, to proszę mi to otwarcie powiedzieć. Jestem przygotowana na wszystko.

Ale pan Ormond milczał, jakgdyby nie słyszał słów młodej dziewczyny.

— Proszę pana — nalegała coraz niepewniejszym głosem, patrząc błagalnie na niego — Czy nie zechce mi pan dać odpowiedzi? Czy rzeczywiście nie zależy już panu na uwolnieniu pańskiego klienta?

Adwokat drgnął nagle, jakby ze snu zbudzony. Powstał z krzesła i przeszedł się kilka razy po gabinecie, obrzucając młodą dziewczynę zimnem spojrzeniem.

— Klient mój — odezwał się nareszcie twardym głosem — uznał za stosowne odebrać mi kierunek swojej sprawy. W tym stanie rzeczy nie mogę się sam narzucać ze swoją obroną.

Głęboka rozpacz odmalowała się na twarzy Beatryczy Darnell.

— Ah! — szepnęła zamierającym głosem — gdyby pan nie był przekonany o jego winie, nie opuszczałbyś go teraz i zostawiał na pastwę losu!

— Nigdy, w żadnej chwili nie uznałbym pana Morgan winnym w tej zbrodni — wyrzekł zimno pan Ormond.

— Nawet po tem, co panu w tej chwili powiedziałam? — zawołała gorączkowo młoda dziewczyna.

— Nawet w tej chwili.

— Wie pan jednak, że musiał się znajdować u swojej ciotki wtedy właśnie, kiedy została zamordowaną!

— To jeszcze nie jest udowodnionem. A w każdym razie nie potwierdza, że on to zamordował panią Clemmens. — odparł pan Ormond z widocznym wysiłkiem.

— To prawda — wymówiła wolno Beatrycza, ulegając mimowoli przekonaniu adwokata. — Ale dlaczegóż w takim razie uciekał tak pospiesznie? Dlaczego powrócił natychmiast do Buffalo, bez wi dzenia się ze mną, tak, jak to było przedtem między nami umówione?

— Czy doprawdy nie znajdujesz odpowiedzi na to pytanie? — rzekł, uśmiechając się ironicznie pan Ormond — Czy mam cię objaśnić, Beatryczo?

— Więc pan wie?

— Chcesz wiedzieć — ciągnął dalej adwokat, unosząc się — dlaczego ten człowiek, dla którego byłaś gotową poświęcić całą swoją przyszłość i honor, nie zapragnął widzenia się z tobą?

— Mów pan, mów, proszę! — wyszeptała błagalnie młoda dziewczyna, pożerając oczyma pana Ormond.

— A więc dla tej przyczyny, że pan Morgan tak mało wierzył w ciebie, Beatryczo, że dziś, kiedy oskarżyłaś się publicznie...

— Dlaczego pan nie kończy? Czy chce mnie pan już zadręczyć zupełnie?

— Bo to nie jest tak łatwe do wypowiedzenia, jak ci się zdaje. Zresztą, skoro żądasz prawdy. — Dlatego, że myślał, iż mówisz prawdę, Beatryczo!

— Ależ to nieprawdopodobne. Pan żartuje ze mnie. — wyszeptała młoda dziewczyna blednąc silnie — On! On mógł już wówczas posądzać mnie! Nie! Nie! To niemożliwe! Pan się myli, pan tego nie mówi, co myśli!

— Dalekim jestem od kłamstwa lub żartu — wyrzekł zimno pan Ormond — Pan Morgan tak mało starał się ukrywać swoje zapatrywanie w tym względzie, że zebrana na sali publiczność mogła sobie również z tego zdać sprawę.

— Nie! Nie! Niech pan tak nie mówi! — broniła się rozpaczliwie Beatrycza.

— Posłuchaj mnie spokojnie, Beatryczo! Morgan od rozpoczęcia rozprawy uznawał cię za winną.

— Ale dlaczego, mój Boże, dlaczego?

— Tego wiedzieć nie mogę. Czy widział, lub też słyszał coś w dniu, w którym opuszczał mieszkanie pani Clemmens? Któż to wiedzieć może! Albo też nabrał tego przekonania, dowiedziawszy się o znalezieniu na miejscu zbrodni pierścionka, który ci ofiarował.

— Ależ ja go mu przecież wróciłam!

— Tak, lecz on mógł o tem nie wiedzieć. Faktem jest, że od chwili, kiedy doszła do niego wiadomość o zamordowaniu jego ciotki, nie przestał cię, Beatryczo, posądzać, a czas coraz silniej utwralał jego podejrzenie.

— To okropne! — wymówiła młoda dziewczyna wzruszonym głosem — A jednak... jednak...

— Starałem się usilnie wpłynąć na zmianę jego przekonania, ale nadaremnie. Czy to jednak nie wzruszające, nie godne podziwu — kończył pan Ormond ze zgryźliwą ironią — że zostałaś tak wynagrodzoną za twoje bezinteresowne poświęcenie?

Ale Beatrycza nie odpowiedziała już przejęta do głębi przeświadczeniem, że człowiek, którego tak gorąco kochała, wolny jest od ciążącego na nim hańbiącego zarzutu.

— — — — — — — — — — — —

Zaczajeni za szerokim konarem drzewa, skąd mogli dosłyszeć tylko niektóre słowa toczącej się w gabinecie rozmowy, dobiegającej ich przez otwarte drzwi, Byrd i Hickory ujrzeli w pewnej chwili, jak miss Darnell, z rozpromienioną dziwnie twarzą, skierowała się ku wyjściu. Pan Ormond towarzyszył jej. Zeszli ze schodów niewielkiego peronu i okrążywszy gazon, skierowali się w ich stronę.

— Nadchodzą tu — szepnął Hickory, przechylając się do Byrda. — Mogą nas spostrzedz. Może lepiej zrobimy, ulatniając się wcześniej?

— Nie — odszepnął Byrd — zachowujmy się tylko ostrożnie, a nie zauważą naszej obecności. To drzewo nas dostatecznie ochroni, a zresztą, czuję jakąś nieprzepartą ochotę pozostania tutaj. Kto wie, może się jeszcze dowiemy czegoś ciekawego.

— Eh! Imaginacya podnieca pana.

— Cicho, już są blizko!

Okrążyli drzewo, tak, aby być najmniej widziani i nadsłuchiwali dalej.

— Nie mogę pozwolić, abyś tak odeszła ode mnie, Beatryczo! — zabrzmiał głos pana Ormond o dwa kroki od ukrytych detektywów. — Skoro nakazujesz mi ratować pana Morgan, życzenie twoje wypełnione być musi.

— Sądzę, że do tego niepotrzebny mój rozkaz, ale poczucie spełnienia obowiązku — odparła zimno młoda dziewczyna, przystając na ścieżce.

— Oh, to bardzo łatwe do powiedzenia! — zawołał żywo pan Ormond, zatrzymując się również. — Widzę teraz jasno, co uczyniłaś ze mnie, z twoją szatańską urodą, oziębłością i pogardliwemi minami! Zanim cię poznałem, Beatryczo, zajmowałem się gorąco moją pracą i w niej tylko znajdowałem przyjemność, kiedy teraz...

— Co teraz? — powtórzyła młoda dziewczyna, mierząc mówiącego surowem spojrzeniem.

— Dręczy mnie myśl, że ty możesz należeć do innego. Że jest ktoś, kogo ty kochasz, dla którego masz miły uśmiech i czarujące spojrzenie oczu. Ah! Beatryczo! Ty nie możesz zrozumieć, co to za męka! Dręczę się, jak potępieniec, chociaż wiem, że dla mnie jesteś już na zawsze stracona i nie mogę mieć żadnej nadziei zdobycia cię kiedykolwiek!

— Czyż nie jestem również stracona i dla niego — odparła miss Darnell z goryczą. — Czyż nie poświęciłam wszelką nadzieję szczęścia, czyniąc to, co uczyniłam dziś rano? Jesteśmy oboje w tym samym położeniu.

Nastała długa chwila milczenia. W duszy pana Ormond musiała się toczyć ciężka jakaś walka, bo oczy jego błyszczały gorączkowo i ciężki oddech podnosił jego piersi.

— Ty jeszcze będziesz szczęśliwą, Beatryczo — wyrzekł w końcu stłumionym przez wzruszenie głosem. — Jeżeli ktoś ma odpokutować tę zbrodnię, to nie Cyryl Morgan, ale ten...

Zanim pan Ormond mógł zdanie dokończyć, trzask silny rozległ się nad jego głową. Przecinając powietrze z głuchym świstem, olbrzymia gałąź oderwana od starego kasztana, potoczyła się ciężko na ścieżkę, spadając na rozmawiających. Byrd i Hickory skoczyli z pomocą. Kiedy po pewnej chwili udało im się z trudem gałąź odrzucić, Beatrycza Darnell powstała z ziemi nie zraniona wcale! Ofiarą, którą wybrał sobie los tym razem, był pan Ormond!

Pan Gryce.

Pan Ferris, powiadomiony o wypadku przez Byrda, przybył wkrótce do domu adwokata, zaniepokojony o zdrowie swojego przyjaciela. Kiedy zadzwonił do drzwi wchodowych, otworzył mu sam doktor Fradwell, który pierwszy zjawił się przy łożu rannego.

— Umarł? — zapytał gorączkowo prokurator, widząc stroskaną i zamyśloną twarz koronera.

— Nie jeszcze... ale to stanie się niebawem!

— Więc niema żadnej nadziei?

— Żadnej!

— Co za okropny wypadek!

— Obydwaj panowie udali się zaraz do pokoju, w którym spoczywał pan Ormond. Leżał na łóżku wysoko obstawiony poduszkami, nie dając znaku życia. Wokoło niego skupili się w milczeniu miss Darnell, siostra adwokata, Byrd i Hickory i jakaś osobistość, której pan Ferris nie znał — w końcu lekarz, obecny przy śmierci pani Clemmens.

Każdy z obecnych zwrócił się do wchodzącego prokuratora, aby osądzić wrażenie, jakie na nim wywoła przedstawiający się mu widok. Pan Ferris przystanął niedaleko łóżka i powiódł spojrzeniem wokoło, poczem przesunął ręką po czole, jakgdyby chciał odpędzić myśl jakąś dręczącą go, w końcu spojrzał wymownie na doktora Fradwella i wyrzekł dziwnym głosem, podkreślając wymówione słowa:

— Nie po raz pierwszy, doktorze, asystujemy scenie podobnej, nieprawdaż?

Koroner poważnie skinął głową na znak zrozumienia. Zresztą wszyscy obecni ogarnęci nagle zostali tem samem wrażeniem. Wszyscy w tej chwili ze zrozumieniem myśleli o pani Clemmens, dogorywającej skutkiem zadanych przez mordercę ran, wokoło której, tak, jak teraz, skupili się w gorączkowem oczekiwaniu jakiegoś słowa rozwiązującego tajemnicę. Zapewne pomiędzy obecnym widokiem, a tamtym były pewne różnice. Skromnego domku wdowy nie było można porównać z bogatą i wytworną willą adwokata Ormond, gdzie na każdym kroku przebijał się dostatek i dobrobyt. Przy łożu konającej wdowy pozatem brakowało obecności miss Darnell, która teraz, pochylona nad łóżkiem chorego, śledziła każdy oddech jego, każde drgnienie muskułów na jego pobladłej twarzy, ale pomimo tych drobnych różnic scena tak łudząco przypominała tragiczną chwilę śmierci pani Clemmens, że musiało to zwrócić uwagę każdego.

Na dużem, szerokiem łożu, ta sama figura sztywna, wyciągnięta. Głowa owinięta bandażami, oddech przyspieszony i nierówny, przerywany od czasu do czasu bolesną czkawką — obok młody doktór, z wyrazem twarzy skupionym i zamyślonym, zdawał się być gotów w każdym momencie do uczynienia gestu uroczystego, którym posłużył się wówczas, kiedy chciał oznajmić obecnym, że pani Clemmens odzyskuje już utraconą przytomność umysłu.

— Czy niema żadnej nadziei uratowania? — powtórzył machinalnie pan Ferris, zwracając się do koronera.

— Chwile jego są policzone. Rana jego jest identyczną z tą, jaką odebrała pani Clemmens.

— Naprawdę? To ciekawe.

— I tak, jak ona, odzyska może przytomność, ale żyć nie będzie. Organizm cały zaatakowany jest silnie.

— Jakimże sposobem Ormond uległ temu strasznemu wypadkowi? — badał dalej pan Ferris.

— Odprowadzał miss Darnell, która była u niego, do furtki w parku, kiedy przechodząc obok jakiegoś drzewa, zostali oboje nagle przewróceni przez grubą gałąź.

— Ale miss Darnell nie została zranioną? — zapytał niespokojnie pan Ferris.

— Nie doznała nawet najmniejszego zadraśnięcia. Można powiedzieć, że cudem jakimś nie uległa temu samemu wypadkowi, co ten biedny Ormond.

— Miss Darnell utrzymuje, że się jej nic złego nie stało — wtrącił się do rozmowy Byrd — ale wątpię, czy jest wstanie obecnie zdać sobie sprawę z tego. Niech pan spojrzy na nią. Zdaje się zapominać o tem, co się wkoło niej dzieje, tak zajętą jest stanem chorego. Rzecby można, że śledzi z najwyższem napięciem chwilę, w której odzyska przytomność umysłu, aby mógł dokończyć zdanie, które rozpoczął był mówić przed wypadkiem.

— Jakie zdanie? — zawołał pan Ferris — Więc pan był świadkiem rozmowy pana Ormond z miss Darnell?

— Byliśmy ukryci, Hickory i ja, właśnie za tem samem drzewem, pod którem przystanął pan Ormond i w ten sposób mogliśmy usłyszeć część toczącej się rozmowy.

— A to zdanie? To zdanie? — pytał niespokojnie pan Ferris, czy zapamiętał je pan?

— Zdanie, o którem mówię, kończyło się słowami: „Jeżeli kto ma odpokutować tę zbrodnię, to nie Morgan, lecz ten, który"...

— Biedny Ormond! — zawołał pan Ferris — Więc jeszcze w ostatniej chwili bronił niewinności swojego klienta!

Zaledwie prokurator wypowiedział to zdanie, kiedy ranny poruszył się lekko na łóżku i długie westchnienie wybiegło z jego zsiniałych ust.

Wszyscy zwrócili się w jego stronę w gorączkowem oczekiwaniu. Miss Darnell pobladła jeszcze silniej, a oczy jej błysnęły nienaturalnem światłem.

— To było zrządzenie losu — szepnął umierający słabym głosem.

Ale natychmiast ciało jego drgnęło konwulsyjnie i ciężki przerywany oddech, wybiegający z jego piersi, ustał nagle. Miss Darnell, patrząca się dotąd uporczywie w twarz pana Ormond, wyprostowała się i zawołała donośnym głosem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z tygodnia.

Polacy w Rosyi o odpowiedzi Rady Stanu na odezwę rosyjską.

„Echo Polskie" (Moskwa) z dnia 19. kwietnia zamieszcza, jak donosi „Nowa Reforma" następujące uwagi o odpowiedzi Tymczasowej Rady Stanu na proklamacyę rosyjską w sprawie polskiej:

„Rada Stanu wywalcza od szeregu miesięcy w niezmiernie trudnych warunkach państwowość polską. Patrzymy wszyscy, jak w oczach naszych buduje się i rośnie państwo polskie. W dniach ostatnich odniosła Rada Stanu nowe zwycięstwo w sprawie Legionów. Nastąpiło uroczyste oddanie Legionów Radzie Stanu, jako kadrów przyszłej armii polskiej. Oddanie to znalazło wyraz w uroczystym manifeście cesarza Karola. Manifest rządu rosyjskiego wzmocnił pozycyę Rady Stanu wobec państw centralnych. Lecz nic więcej nie mogła w tym manifeście widzieć Rada. Nie mogła rozpocząć liczenia odeń ery niepodległości polskiej, bo byłoby to sprzeczne ze stanem rzeczy w kraju, z przyznanym Radzie Stanu charakterem i z własnem samopoczuciem. Mogła uznać manifest tylko jako potwierdzenie niepodległości i odpowiedziała w tym duchu. Powyżej określone stanowisko było jedyne, z którego wyjść mogła Rada Stanu, w trudnych warunkach, jakie stwarza okupacya niemiecka.

Układając swą deklaracyę broni ona z trudem budowanej przez się państwowości przed każdym na nią zamachem. To są przyczyny zastrzeżeń, jakie w stosunku do manifestu Rządu Tymczasowego znajdujemy w deklaracyi Rady Stanu. Ale wiemy, że zastrzeżenia te nie tyczą się istotnie treści manifestu. Zasadniczą treścią manifestu jest przyznanie Polsce niepodległości, która nie jest warunkowana ani przymierzem wojennem, ani manifest nie określa też jej granic. Granice mają — według manifestu — być wyznaczone według zasady narodowościowej, a chęć przymierza oznacza tylko kierunek dążeń polityki rosyjskiej w stosunku do Polski.

Ale zasadniczo w deklaracyi stanowisko Rady Stanu jest proste i mocne. Deklaracya wita erę wolności w Rosyi i podkreśla potrzebę przyjacielskich stosunków z Rosyą. Równocześnie Rada Stanu protestuje przeciwko polityce, pracej do wojny z państwami centralnemi. Wypada nam tylko stwierdzić fakt, że Rada Stanu staje tu na gruncie polityki, której hołduje wielka część opinii kraju, nazywana neutralistyczną. Inne wiadomości pozwalają wnioskować, że na tym samym gruncie stają dziś ci, którzy tworzyli Legiony, stoi Piłsudski z swym sztabem".

„Gazeta Polska" jest oczywiście z odpowiedzi Rady Stanu niezadowolona. W numerze tego organu z 19 kwietnia oświadcza p. Sadzewicz, że rezolucya Rady Stanu traktuje odezwę rosyjską z uprzedzeniem i podejrzliwością. Odezwa rosyjska nie pragnie zjednoczenia obydwu państw w zakresie wojskowym, lecz tylko swobodnego sojuszu wojennego. Za największą zbrodnię poczytuje p. Sadzewicz Radzie Stanu wytoczenie sprawy spornych etnograficznie terytoryów, leżących między Polską a Rosyą. Stanowisko Rady Stanu „trąci duchem imperyalistycznym, który nie jest zgodny z duchem naszych tradycyi narodowych, ani nie przystoi zmartwychwstającej Polsce". Wkończu zapytuje p. Sadzewicz, w jakim celu Rada Stanu pragnie utworzenia armii, skoro obie strony wojujące zgadzają się na niepodległość Polski. Zdaniem jego, jedyną racyę miałaby armia polska po stronie Rosyi, celem zjednoczenia ziem polskich.

Powszechny strajk akademicki w Warszawie.

Z Warszawy donoszą do „Dziennika Narodowego":

Sensacyą dnia jest strajk wszystkich uczelni. Powód do tego dało aresztowanie i pobicie przez policyę w dniu 3. maja br. dwóch studentów. Młodzież akademicka występuje solidarnie. Dnia 5. bm. strajk ogarnął uniwersytet, politechnikę, wyższe kursa handlowe, wyższe kursa naukowe, oraz wyższe kursa dla urzędników. W auli uniwersyteckiej odbył się wiec młodzieży akademickiej, na którym uchwalono zwrócić się do senatu akademickiego, aby ten ze swej strony wystąpił z interwencyą o uwolnienie aresztowanych. Aby nadać całej akcji charakter jednolity, wyłoniły wszystkie grupy ideowe, mające swych reprezentantów wśród organizacyi akademickich, specyalną komisyę, która w imieniu ogółu występuje. Dodać należy, że strajk popierają również studenci nacyonal ści-żydzi.

Według dalszych informacyi, jakie nadeszły z Warszawy, dnia 10. bm. odbył się tam ogólno akademicki wiec, na którym uchwalono zawiesić wykłady na stałe na uniwersytecie, politechnice, wyższych kursach rolniczych i wyższych kursach handlowych i to aż do czasu całkowitego zadośćuczynienia młodzieży za ostatnie aresztowania.

Krytyka administracyi niemieckiej w Polsce.

W komisyi budżetowej parlamentu niemieckiego toczyła się przez trzy dni wielce ożywiona dyskusya nad sprawami Polski i Litwy, przyczem poseł Nehbel występował z nieuzasadnionymi zarzutami przeciwko Polakom.

W odpowiedzi wygłosił poseł Trąmpczyński wielką mowę, w której powiedział pomiędzy innemi:

„Jeżeli p. Nehbel wspominał o niewdzięczności polskiej, to zapomina, że akt z dnia 5. listopada 1916 roku nie został ogłoszony dla pięknych oczu Polaków, ale wyłącznie w interesie Niemiec. Rzesza niemiecka ze stanowiska wojskowego musi dążyć do tego, aby swą wschodnią granicę skrócić i wysunąć ją jak najdalej na wschód. Kanclerz bardzo dobrze wiedział, że powaga *(prestige)* Rosyi nigdy nie pozwoli na aneksyę Królestwa Polskiego ze strony Niemiec, a zgodzi się na utworzenie samodzielnego państwa między Rosyą a Niemcami, ponieważ takie państwo i Rosyi umniejsza ciężar wojskowy, odsuwając niebezpieczne sąsiedztwo na daleką odległość. Wiadomem jest, że konserwatystom pruskim kombinacya z dnia 5. listopada 1916 roku się nie podobała, bo spekulowali oni na to, że Niemcy będą mogły po trupie Polski pogodzić się z carem rosyjskim. Kombinacya ta, zawsze na słabych podstawach oparta, stała się jednak zupełnie niemożliwą wskutek rewolucyi rosyjskiej. Krok więc kanclerza z dnia 5. listopada 1916 roku, który odpowiadał oczywiście i interesowi narodu polskiego, był bardzo mądrym. Zarzucić tylko trzeba, iż kanclerz nie miał odwagi przeprowadzić wszystkich konsekwencyi. Gdy raz się weszło na drogę wspólnego interesu między Rzeszą niemiecką a narodem polskim, nie powinno się było traktować narodu polskiego jako martwy przedmiot niemieckiej polityki, ale pytać także o potrzeby i życzenia narodu polskiego. Trzeba było mianowicie w Polsce i na Litwie zaprzestać gorszego obchodzenia się z Polakami, niż go dzisiaj Niemcy doznają. Tymczasem już pod względem poszanowania własności zachodzi znaczna różnica: Niemcowi na przykład z reguły płaci się za rekwizycye pełne wynagrodzenie i to gotówką, Polakowi zaś tylko małą część wartości i to nie gotówką, tylko obiecanką. Gospodarka na Litwie po krótkim czasie okupacyi oburzyła całą ludność na Niemców, ludność, która pierwotnie Niemcom wcale nieprzychylną nie była. Zaczęto bowiem od tego, że zabrano prawie całe bydło i to po cenach tak niesłychanie niskich, że na przykład za holenderskie jałowice płacono tylko po 150 marek. Obywatelí Polaków na Litwie, którzy byli uciekli przed potyczkami, do dziś dnia władze niemieckie nie chcą wpuścić znowu do ich majątków i własności. Majątki te są administrowane w tak obydny sposób, że administratorowie nie pokrywają kosztów. Wskutek tego ludzie, niegdyś majętni, dzisiaj nie mają co jeść. Lasy prywatne i rządowe tnie się w sposób rabunkowy, tylko dlatego, by wyciągnąć z nich podatek 10 proc. Sruba podatkowa, przykręcona wogóle w sposób niesłychany, rzekomo na wydatki kulturalne. na przykład budowę szos i kolei.

W Wilnie nawet z dostawy żywności zrobiono źródło dochodów, sprzedając w drodze monopolu żywność potrójnej i poczwórnej cenie zakupu. Wskutek tego panuje tam straszny głód. Składki prywatne muszą być oddawane urzędom do podziału. wskutek tego oczywiście niechętnie je publiczność zbiera. Ludności odebrano wszelką broń; złoczyńcy, wiedząc o tem, coraz śmielszymi się stali. Gdy jednak gdzieś zajdzie rabunek lub podpalenie, gminie władze nakładają kontrybucyę, tak, że ludność w dwójnasób cierpi.

Ani w Królestwie Polskiem, ani na Litwie nikt nie jest pewnym swej osobistej wolności. Dziesiątki tysięcy osób przytrzymuje się długie miesiące w obozach na mocy najgłupszych denuncyacyi; a często nawet władze same nie wiedzą, dlaczego aresztowanie nastąpiło. Na wszelkie remonstracye nie dostaje się jasnej odpowiedzi, ale ogólnikową, że aresztowany podejrzany jest o szpiegostwo, lub, że powrót jego nie zgadza się z interesem niemieckim!

Całą męską ludność na Litwie pociągnięto do przymusowej pracy przy budowie dróg, bez względu na zawód i stan zdrowia. Tylko opłatą stu marek miesięcznie wykupić się można. Biednych tych ludzi żywi się niedostatecznie, zmusza do pracy dziesięciodo dwunasto-godzinnej dziennie, a na noc zamyka przy dwudziestu przeszło stopniach zimna w stodołach. Gdy w takiej stodole ogień wybuchnie, wszyscy robotnicy giną, bo są zamknięci. Wobec tego obchodzenia się grozi ludności Litwy wyginięcie, bo oczywiście śmiertelność strasznie wzrosła.

Czas już, żeby nareszcie rząd wejrzał w gospodarkę biurokracyi wojskowej na Litwie.

Smutnym punktem jest także kwestya zrujnowania przemysłu, rekwizycyi w Królestwie i na Litwie. Zabiera się nie tylko materyały podatne na potrzeby wojskowe, ale — i wszystko inne: bluzki kobiece, materyały pluszowe, dywany itp. i sprzedaje się kupcom w Niemczech, którzy mają z tego grube zarobki. Zupełnie, jakby konwencya haska nie egzystowała. W Warszawie np. obłożono aresztem worki, sprzedano za podwójną cenę żydowi, a od tego pierwotny właściciel mógł odkupić je za potrójną cenę! Wynagrodzenia za rekwizycye ustanawia się z reguły najwyżej na 30 do 50 procent rzeczywistej wartości, a z ustanowionej ceny wypłaca się tylko dziesiątą część, resztę „tymczasem" zatrzymując.

Ludność w Polsce i na Litwie bardzo dobrze rozumie, że dużo krzywd i nieprzyjemności jest przykrym wynikiem wojny. Ale ludność polską, którą urzędowo uznaje się jako nie wroga, traktuje się nie tylko gorzej niż Niemców, ale nawet gorzej niż Belgów i Francuzów. Bo tym płaci się za rekwizycye wprawdzie także znacznie niżej wartości, ale przynajmniej gotówką. Gdy Belgów kilkadziesiąt tysięcy zmuszano do pracy w Niemczech, cały świat się za nimi ujął. Tymczasem Polaków przytrzymuje się w Niemczech pół miliona w przymusowej pracy, a robi ich przez to ofiarami wyzysku i złego traktowania ze strony pracodawców. Wszelkie dotychczasowe usiłowania o zwrócenie tymże robotnikom wolności, rozbijają się o frazes, że w Niemczech się tych robotników potrzebuje. Tymczasem zatrzymanoby tych robotników i mianoby ich więcej, gdyby mieli pewność, że otrzymają wolność, że będą odpowiednio traktowani i płaceni."

Mówca wnosi o to, aby robotników z Królestwa i Litwy zrównano w prawach wobec pracodawcy, mianowicie, co do zmiany miejsca pracy, z robotnikami niemieckimi i aby, po upływie kontraktów, pozwolono im powracać do kraju. Komisya wniosek ten przyjęła wszystkimi głosami przeciwko głosom konserwatystów.

Sztandary polskie w pochodzie w Kijowie.

Wschodnia agencya telegraficzna (WAT) donosi: W znanym pochodzie Polaków w Kijowie, urządzonym z powodu obalenia rządów carskich, młodzież polska wystąpiła z czterema sztandarami bojowymi, stanowiącymi własność Karola Moczańskiego. Sztandary te poprzedzały pamiętny pochód w Warszawie w roku 1905 i były skrzętnie, ale bezowocnie poszukiwane w ciągu kilku lat przez amatorów naszych pamiątek narodowych .. żołdarnów i ochranę. Poniżej zamieszczamy dokładny opis sztandarów naszych w porządku, w jakim były niesione: 1. Sztandar Kościuszkowski. Strona główna: orzeł z koroną na tle amarantowem i pogoń z dwuramiennym krzyżem w polu granatowem. U dołu napis: Wolność, równość i niepodległość. Strona odwrotna: Matka Boska Częstochowska na tle błękitu, usianego złotemi gwiazdami. U dołu napis: „O Matko nie opuszczaj nas!". 2 Sztandar z r. 1831 U góry napis: „Województwo Mazowieckie. Oddział Gostyński". W środku prześliczny orzeł biały z koroną. U dołu napis: „Za naszą i waszą wolność." W rogu dołu, przy drzewcu, inicyały T. K. 3. Sztandar z r. 1863. Strona główna: U góry napis: „Śmierć lub zwycięstwo". — Pośrodku Orzeł biały z koroną. U dołu napis: „Rok 1863". Strona odwrotna: Matka Boska Częstochowska. 4 Sztandar z r. 1863. Strona główna: Matka Boska Częstochowska w ramce galonów srebrnych. Wszystkie sztandary na oryginalnych drzewcach, które wieńczą orły srebrne i złocenia. Sztandar z roku 1831 posiada kilka plam krwi polskiej, która tak ofiicie wówczas płynęła.

Kronika tygodniowa.

Zanim przystąpię do porządku dziennego, muszę przedewszystkiem odpowiedzieć panu M. K. z Barszczowic pod Lwowem, który obraził się na mnie, iż pozwoliłem sobie w jednej z poprzednich kronik zaznaczyć, iż święta Agnieszka, obchodząca swe imieniny w dniu dwudziestego kwietnia, zamiast „skowronka z mieszka“ wysypała nam tylko niepotrzebnie trochę śniegu, przysłowie ono odnosi się bowiem do innej świętej Agnieszki, mianowicie w dniu dwudziestego pierwszego stycznia.

Panu owemu przyznaję zupełną racyę, ale pozwolę sobie dodać, iż tak działo się dawniej, gdy temperatura nie urządzała podobnych, jak obecnie, ekstrawagancyi. Tamta święta Agnieszka zrezygnowała już dawno ze skowronków, teraz zastępuje ją jej kwietniowa imienniczka, a i tak ma jeszcze z nimi kłopot, gdyż w żaden sposób nie chcą śpiewać, bojąc się zakatarzenia. Zresztą w tym roku wszystko spóźnione, nic też dziwnego, że spóźniły się i skowronki, choć bynajmniej nie jest wykluczonem, że w Barszczowicach mogły śpiewac wcześniej, niż w Krakowie. Przed laty zdarzyło się, iż pod Krakowem zastrzelił pewien myśliwy wygrzewającego się na wiślanym piasku krokodyla i to całkiem autentycznego, nie surogat jakowyś bynajmniej, a nikt się o to nie gniewał. Mógł więc spokojnie pływać sobie krokodyl we Wiśle, mogły też i w kwietniu jeszcze milczeć skowronki.

„Skowronki śpiewają czasem już w lutym, a w tym roku śpiewały w marcu. Widocznie p. Kronikarz chciałby skowronka słyszeć obok Hawełki przy bombie“. Tak pisze Szanowny Korespondent z Barszczowic, pomylił się jednak w adresie, gdyż kronikarz „obok Hawełki“ próżnoby szukał „bombki“. W samym lokalu, to już prędzej. Bombkę tu znajdzie, niejedną nawet, skowronka zaś żadnego, za to mu rękę i najmocniej go przepraszam, iż moją Agnieszką poważyłem się wytrącić go z umysłowej równowagi i naraziłem na niepotrzebny wydatek na korespondentkę, którą umieściliśmy ku wiecznej rzeczy pamięci w naszem archiwum redakcyjnem. Na przyszły rok postaramy się, aby i u nas, tak, jak w Barszczowicach, zaczęły skowronki śpiewać prędzej. Mamy liczne stosunki w różnych sferach, prawdopodobnie uda się nam więc sprawę „skowronkową“ do skutku doprowadzić, a wówczas będzie i wilk syty i owca cała.

Skoro już mowa o skowronkach, to równocześnie warto wspomnieć i o innych stworzeniach, ale czworonożnych, zwłaszcza że ma to nawet pewien związek z obecną sytuacyą polityczną.

W jednem z pism, kreślących barwnie zajścia w Rosyi po wybuchu rewolucyi, czytamy:

„Mieszkańcy Moskwy widzieli — jak donosi nam korespondent sztokholmski za *Gazetą Polską* — bardzo oryginalną demonstracyę. Ulicą Twerską kroczyły poważnie dwa słonie i wielbłąd. Zwierzęta te miały przewieszone dwa plakaty z napisem: „Niech żyje przedstawicielstwo narodowe, armia i flota. Zwyciężyliśmy wroga wewnętrznego, zwyciężymy i zewnętrznego“. Za słoniami jechał właściciel ich, klown Durow, przepasany czerwoną wstęgą. Oryginalnej tej kawalkacie towarzyszyły tłumy publiczności“.

Wobec tego, że w Rosyi już i klown nawet zabiera się do polityki na szerszą skalę, chyba wątpić nie można w zwycięstwo. Gdyby to odemnie zależało, postarałbym się, by pana Durowa zrobiono ministrem, wszystko jedno czy z teką, czy bez teki, byle tylko z pensą i z prawem do emerytury. U nas, choćbyć szukał takiego klowna, nie znajdziesz go i ze świecą, gdybyś zaś nawet i znalazł, nie zgodziłby się nigdy na urządzenie podobnej politycznej demonstracyi, bojąc się, by, za wywołanie zbiegowiska, nie dostał się przypadkowo „do ula“, gdzie pobyt jest wprawdzie bardzo tani, ale niezbyt przyjemny. Słonie w danym wypadku uległyby konfiskacie i zostały przeznaczone na użytek kuchni obywatelskich, których stołownicy mogliby się wówczas delektować takimi specyałami, jak n. p. trąba słoniowa na gorąco z chrzanem, lub takiż udziec z kapustą. Kilka zaś osób znajomych wywodziło już przedemną żale, iż potrawy w owych kuchniach podawane nie są tak smacznie przyrządzane, jak początkowo. Zwłaszcza kiełbasa ma być o wiele gorszą od tak zwanej „wyborczej“, wyrabianej swojego czasu także w własnym zarządzie magistratu.

A propos rekwizycyi ewentualnej owych słoni, to zaznaczyć wypada, iż rekwizycye różnych okazów zoologicznych, tak dwunożnych, jak i czworonogów, mnożą się u nas w ostatnich czasach w sposób zastraszający, co zaś najgorsze, dokonują ich osobniki, do tego zupełnie nieuprawnione i prawdopodobnie dlatego nie chcące zdradzić swego *incognito*. Przed kilku dniami zgłosił się do mnie pewien obywatel z Półwsia Zwierzynieckiego ze skargą na niewiadomego z nazwiska i miejsca stałego lub niestałego pobytu sprawcę, który przywłaszczył sobie jego jedyną kokoszkę. Ptaszka owego nie tylko wykurował z ciężkiej słabości, nie żądając w zamian nic, nawet znoszenia jajek, nie pozwolił go też zabijać, tymczasem znalazł się jakiś złoczyńca, który prawdopodobnie, celem uchronienia się od odpowiedzialności, położył kres życiu niewinnego „pierzaka“, a zwłoki jego ukrył w swej otchłani żołądkowej, gdzie ich nawet Sherlock Holmes nie wynajdzie. Chyba Aida mogłaby dojść za węchem.

Takich wypadków notują pisma codzienne więcej i to nie tylko u nas. Niedawno czytałem w jednym z poważnych politycznych organów, iż gdzieś tam, za siódmą górą i rzeką, urzędzi również dotąd niewyśledzony sprawca „przegląd“ osobników kurzego rodu, i bez odsyłania ich do „konstatirungu“ uznał wszystkie za „zdatne“, z wyjątkiem jednego jedynego starego koguta, którego zostawił na pocieszenie gospodarstwa, zastrzegając się przecież „aż do następnego przeglądu“, mającego nastąpić prawdopodobnie wówczas, gdy już tamte skonsumuje.

Wogóle dla wszelkich rzezimieszków najpożądańszym łupem są obecnie różnego rodzaju artykuły spożywcze. „Aprowizują“ się też, gdzie i w co mogą, nie darowali nawet ziemniakom, już zasadzonym w polu, jak to zreszta już o tem w swoim czasie wspominałem, dziś zaś powtarzam, gdyż na tem tle powstało bardzo aktualne przysłowie wojenne: „Bezpieczny, jak ziemniak na Błoniach“.

Również do ziemniaków odnosi się nowe wyrażenie w naszej ludowej gwarze, jakie słyszymy na każdym kroku i o każdej porze z ust ludzi obojga płci i różnego wieku. „Idę stać na ziemniaki!“... Oto zwrot, mający oznaczać, iż dany osobnik ma zamiar utworzyć część ogonka przed miejskim składem, gdzie czeka się nieraz bardzo długo i skąd wraca najczęściej z próżnym koszem lub workiem.

O ile się obecnie „ziemniaczane ogonki“ coraz bardziej wydłużają, a potem nawet zamieniają w tryumfalne pochody przed gmach magistratu, o tyle zanikają zupełnie n. p. ogonki naftowe, a znikną zupełnie w czasie od trzynastego maja do trzydziestego pierwszego sierpnia, to jest w okresie, w którym naftę pobierać mogą tylko urzędowo uprawnieni, a gospodarstwa domowe tylko w wypadkach nadzwyczajnych (mieszkania suterenowe lub od strony podwórza, nie posiadające w dostatecznej ilości światła dziennego, lub pozbawione go zupełnie, w wypadkach choroby i t. d.). Ale bez nafty można się obejść, zwłaszcza, jeśli się ma elektrykę, bez ziemniaków zaś nie. Dziś dopiero widzimy, jakie znaczenie w kwestyi aprowizacyi najszerszych warstw ludności mają owe, lekceważone dawniej ziemniaczki, do których dziś niejeden bez skutku wzdycha i woła: „Królestwo za ziemniaka!...“ Nic też dziwnego, że, choć nóg nie mają, podskakują coraz bardziej w cenie i, kto wie, czy na przednówku nie będzie się musiało kupować je w aptekach za receptą. Spotkałem niedawno pewnego znajomego żarłoka, który dawniej jadał tylko szparagi, pieczarki, a w najgorszym razie kalafiory, jak w dorożce, publicznie ściskał worek ziemniakami napełniony i za żadne ceny nie pozwoliłby sobie wydrzeć ten skarb, za który zapłacił około ośmdziesięciu koron. Inny znów, gdy się z rozpaczą dowiedział, iż zapasy ziemniaczane są już na ukończeniu, całą swą służbę wysłał w okolice Krakowa, by mu bodaj po koszyczku przywieźli. Gdy powróciła Julcia i Karol i każde z nich przywiozło po miareczce, tak był tem ucieszony, jak ongi, przed wojną, gdy mu kto ofiarował kosz najprzedniejszych owoców południowych.

Nasz ziemniak, dzięki więc dopiero wojnie, doczekał się rehabilitacyi. Poznaliśmy, jakie ma dla nas znaczenie i z zawiścią patrzymy na różne czworonogi, robiące nam ich zjadaniem konkurencyę. Nawet tak poważne ciało, jak krakowska Rada miejska, ma stale na porządku dziennym sprawę ziemniaczaną, stwierdzając ciągle, iż ich brak, ale się robi, co można, by je zdobyć. Zwłaszcza teraz potrzeba ich na gwałt do sadzenia, a Centrala z nadesłaniem jakoś się nie spieszy. Stare przysłowie: *Festina lente*, jest wprawdzie bardzo mądre, jak każde zresztą przysłowie, ale nie zawsze może znaleźć zastosowanie. Za miesiąc powinnibyśmy już mieć nowe, a trudno mieć je bez zasadzenia.

Ponieważ lubię każdemu przyznać słuszność, jeżeli na to tylko zasługuje, przyznaję ją też i krakowskiej Radzie miejskiej, która odbywa często posiedzenia i zajmuje się na serio sprawami, najbardziej dziś żywotnemi, t. j. przeważnie aprowizacyą. Starając się o żołądek mieszkańców, zdobywa sobie też i ich serca. I na ostatniem posiedzeniu w dniu dziesiątego maja poruszano też przeważnie kwestye, z żołądkiem najbliższy związek mające, pocieszając, że bodaj mąki nam na razie nie braknie, gdyż nadeszły większe jej zapasy z Rumunii. Mówiono także o węglach (konstatując brak), mięsie (również mało), oraz chlebie, do którego w przyszłości ma się dodawać pewien procent mąki drzewnej. Przeciw temu postanowiono zaprotestować, w obawie, by na zimę drzewa na opał nie brakło. Poruszono też sprawę sądu rozjemczego w kwestach mieszkaniowych, który w Krakowie ma rozpocząć swe urzędowanie w dniu pierwszego czerwca i wziąć w swą opiekę ciemiężonych przez kamieniczników lokatorów. I o tem wspomniano, o czem już przed tygodniem napomknąłem, jak to smakowicie wyglądają jadłospisy restauracyi wiedeńskich i jak się różnią od naszych, choć Galicya opływa podobno we wszystko. Panowie radcy, choć to chłop w chłopa bogacz i może sobie na niejedno pozwolić, na co nie stać zwykłego chudopachołka, tak się podczas tego oblizywali i tak głośno łykali ślinkę, iż pan prezydent musiał przerwać dyskusyę i przejść do porządku dziennego.

To były tak zwane „grubsze sprawy“, po nich omawiano „drobniejsze“, do których należała między innemi zmiana tytulatury urzędników technicznych miejskich, oraz zniesienie posady kontrolora Zakładu czyszczenia miasta, a utworzenie w zamian jednej posady oficyała w etacie urzędników miejskich, choć stare przysłowie powiada: „niech się zwal, jak chciał“, byle by wynagrodzonym był, jak się patrzy, a wtedy można wymagać, by z pełnem oddaniem się pełnił swe obowiązki. Z samej tytulatury jeszcze nikt nie stłuścial!

Bardzo na miejscu było wystąpienie radcy Konopińskiego przeciw systematycznie uprawianej gospodarce, wydającej nas na łup zachodnich krajów, a po legającej na tem, iż zapasy bydła w krajach zachodnich i południowych szanuje się, a natomiast objada się biedną Galileę.

Dowiedzieliśmy się także, że rozkaz w sprawie zajęcia środków żywności na podstawie ustawy o świadczeniach wojennych został przez naczelną komendę zniesiony.

Ze żołądkami Krakowian miało również styczność sprawozdanie wiceprezydenta Rollego z działalności i rozwoju kuchni obywatelskich i ludowych. Od poniedziałku, dnia czternastego maja, kuchnie te wydawać mają znacznie większe porcye mięsa. Wogóle wszystkie porcye mają być powiększone, co głodni Krakowianie przyjmą zapewne z zadowoleniem do wiadomości. Prezydyum miasta wypracowuje ponadto projekt kuchni jednotypowych, to jest wydających tylko jedną potrawę, a przeznaczonych dla najuboższej ludności.

Widać z tego wszystkiego, że ojcowie miasta na seryo zajmują się losem obywatelstwa, za co i kronikarz musi im wyrazić na tem miejscu swe pełne uznanie.

W ubiegłym tygodniu święciliśmy uroczystość świętego Stanisława, patrona Polski, a specyalnie Krakowa. Ciekawy byłem, jak się w tym roku zachowają Podgórzanie, stale dotąd wierni swemu Michałowi.

Ponieważ Podgórze właściwie już nie istnieje, przyłączone stale do Krakowa i tworzące jedną z jego dzielnic, przypuszczać należało, że święty Stanisław weźmie je pod swe wyłączne panowanie. I tak się też stało. Bracia nasi zza Wisły przyjęli z wdzięcznością nowego Patrona, ale zastrzegli się, że nie zrywają bynajmniej z poprzednim, z którym było im bardzo dobrze i również uroczyście obchodzić będą we wrześniu jego imieniny. Na przyłączeniu do Krakowa wyszli więc i pod tym względem bardzo dobrze, gdyż mają dwa święta, gdy tymczasem my, którzyśmy ich do swego serca przytulili, tylko jedno. Niektórzy Krakowianie, szczególniej ci, co to mają nie bardzo czyste sumienie, nie lubią nawet wspomnienia im „o świętym Michale“, w którego gościnnych murach mieści się znany internat, zwany popularnie kryminałem, dokąd można się dostać na bezpłatny pobyt wraz z całem utrzymaniem, jeśli się ma protekcyę pana prokuratora.

Zagadki do nagrody.

Szarada.
Ułożył H. M., Kraków.

Pierwsze znaczenia nie ma, lecz gdy mu dasz znaczek,
Będzie ciągnąć ciężary, *drugie* zaś u szwaczek
Często zdrobniałe widać. Zaimkiem jest *trzecie,*
Czwarte jest wykrzyknikiem, wie to każdy przecie.
Kiedy je *wspak przeczytasz,* to zaimkiem będzie.
Polski poeta *piąte,* znany dobrze wszędzie.
Pierwsze, drugie wraz z trzeciem jest to męskie imię,
Za dawnych było czasów dosyć częstem w Rzymie.
Pierwsze-czwarte pojechać, przyjemna zabawa,
Czwarte-trzecie się sypią czasem jak z rękawa.
Całość, jest to miejscowość, ludna i bogata,
Co była przez czas pewien stolicą wszechświata.

Łamigłówka.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą rozwiązanie.

Sm - ła
Ke - ir
Bi — cz
Da — ia
Ka - ań
Gr - ka
Ci un
Fi — ga

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Baronie E! Oto łopaty z kadzidłami.

Okienko.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a  a  a  a  a  a  a
a        c        c
c        c        k
k  k  k  l  l  ł  ł
m        m        n
p        p        p
t  t  n  u  u  y  y
```

Znaczenie wyrazów: 1. Historyk czeski. 2. Naczynie szklane. 3. Półwysep w Ameryce.

Logogryf.
Ułożył S. Winter, Tarnów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko i imię polskiego poety i malarza.

```
         □
       — □ —
     — — □ — —
   — — — □ — — —
     — — □ — —
       — □ —
         □
       — □ —
     — — □ — —
   — — — □ — — —
     — — □ — —
       — □ —
         □
       — □ —
     — — □ — —
   — — — □ — — —
     — — □ — —
       — □ —
         □
```

Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska. 2. Konstelacya. 3. Inaczej kształt. 4. Przyrząd do wytyczania kierunku linii. 5. Istota nadprzyrodzona. 6. Głos. 7. Spółgłoska. 8. Owad. 9. Miasto w Królestwie Polskiem. 10 Kraj w południowej Ameryce. 11. Pierwiastek chemiczny. 12. Litera grecka. 13. Samogłoska. 14. Zwierzę. 15. Przeciąg czasu. 16. Imię męskie. 17. Ptak domowy. 8 Miasto na Podolu. 19. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

W nocy kosztował ogórki, osę, różgę, gnat.

Logogryf.
Ułożył H. M., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko słynnego wynalazcy.

```
□ — — — —
— □ — — —
— — □ — —
— — — □ —
— — — — □
— — — □ —
— — □ — —
— □ — — —
□ — — — —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Jamochłon. 2. Ptak. 3. Wyraz, znany z chemii i mineralogii. 4. Zwierzę przeżuwające. 5. Cesarz rzymski. 6 Rzecz dla malarza niezbędna. 7. Metal. 8. Roślina skrytokwiatowa. 9. Odzienie góralskie.

Zadanie na rozsypane litery.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, e, e, i, i, k, k, k, k, k, k, l, n, o, o, o, r, r, u, u, w, w, y.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Owa jedna morela brała kaczki.

Bilety wizytowe.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

LEON I. S. PIASKARZ.

CYRJAK O. W. OSWOBON.

PIUS E. N. CZYPUANSKI

LEON W. SUCKI

WIKTOR NEWODRZY.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 18.

Zadanie do przestawienia: Po nici do kłębka.

Łamigłówka:
Reja
Ezaw
Waga
Obar
Lete
Uran
Cheb
Yard
Adam
Wawr
Rafa
Obol
Safo
York
Ikwa.

Szarada: Upodobanie.

Okienko:

```
G  o  l  g  o  t  a
o        m        p
l        n        e
g  m  u  n  d  e  n
o        d        i
t        e        n
a  p  e  n  i  n  y
```

Równanie:
Szampan + Tahiti + Wajdelota + Mateusz = Pan Tadeusz.

Łamigłówka literacka:
Czarne błoto.
Złote ziarna.
Aż na dno.
Jutrzenka.
Księżna Safta.
Orły.
Wiszary.
Sielanka.
Kobieta w masce.
Irydyon.

Zadanie do przestawienia: Gdyby można, co nie można.

Logogryf:

```
            B
         b  e  r
      m  a  g  o  t
   l  a  z  u  l  i  t
W  o  r  s  k  l  a
   J  a  ł  t  a
      h  a  k
         w
      a  s  y
   D  u  k  l  a
g  a  b  i  n  e  t
K  a  m  i  e  ń  s  k  i
I  r  r  e  d  e  n  t  a
   n  i  e  w  o  l  a
      D  i  a  n  a
         e  r  a
            d
```

Bilety wizytowe: Śpiewak. Wiertacz. Zecer. Tancmistrz. Wirtuoz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Łodyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Koznbski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, S. Jaśkiewicz Wiedeń, E. Winter Tarnów, E. Bogdalska Koropuż, B. Książek Miejsce Piastowe, M. Oesinkowa, Wygoda.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Roland, Kraków.** — Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy Sł. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego